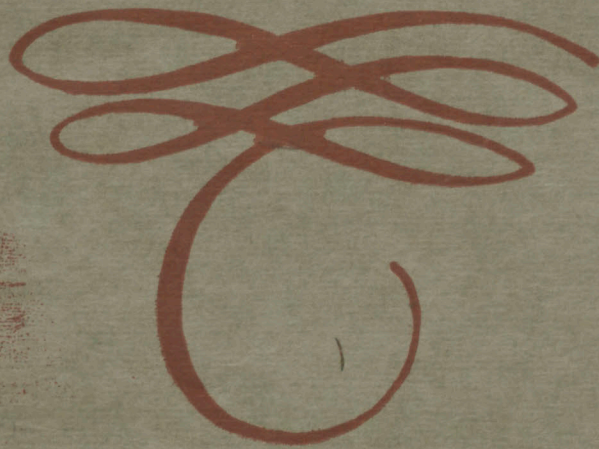


BIESIADA LITERACKA



WARSZAWA, 12 KWIETNIA 1925 R.

CENA NUMERU 1 ZŁOTY

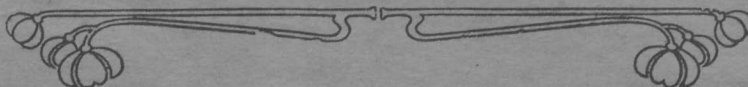
CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE

„ECHO WARSZAWSKIE”

NAJPOCZYTNIEJSZY ORGAN STOLICY

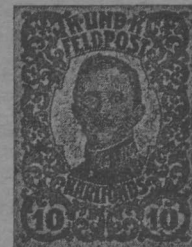
Adres Redakcji:
ul. Hortensja 6.
Telefony: 111-70, 111-71.

Adres Administracji:
ul. Boduena nr. 4.
Telefony: 228-46, 77-31.



Kupię każdą ilość **znaczków pocztowych** do zbiorów. Oferty możliwie z ceną uprasza się składać sub. „Wyplata w gotówce” do administracji Biesiady Literackiej, ul. Nowy-Swiat 50.

II piętro, front.



BIESIADA LITERACKA

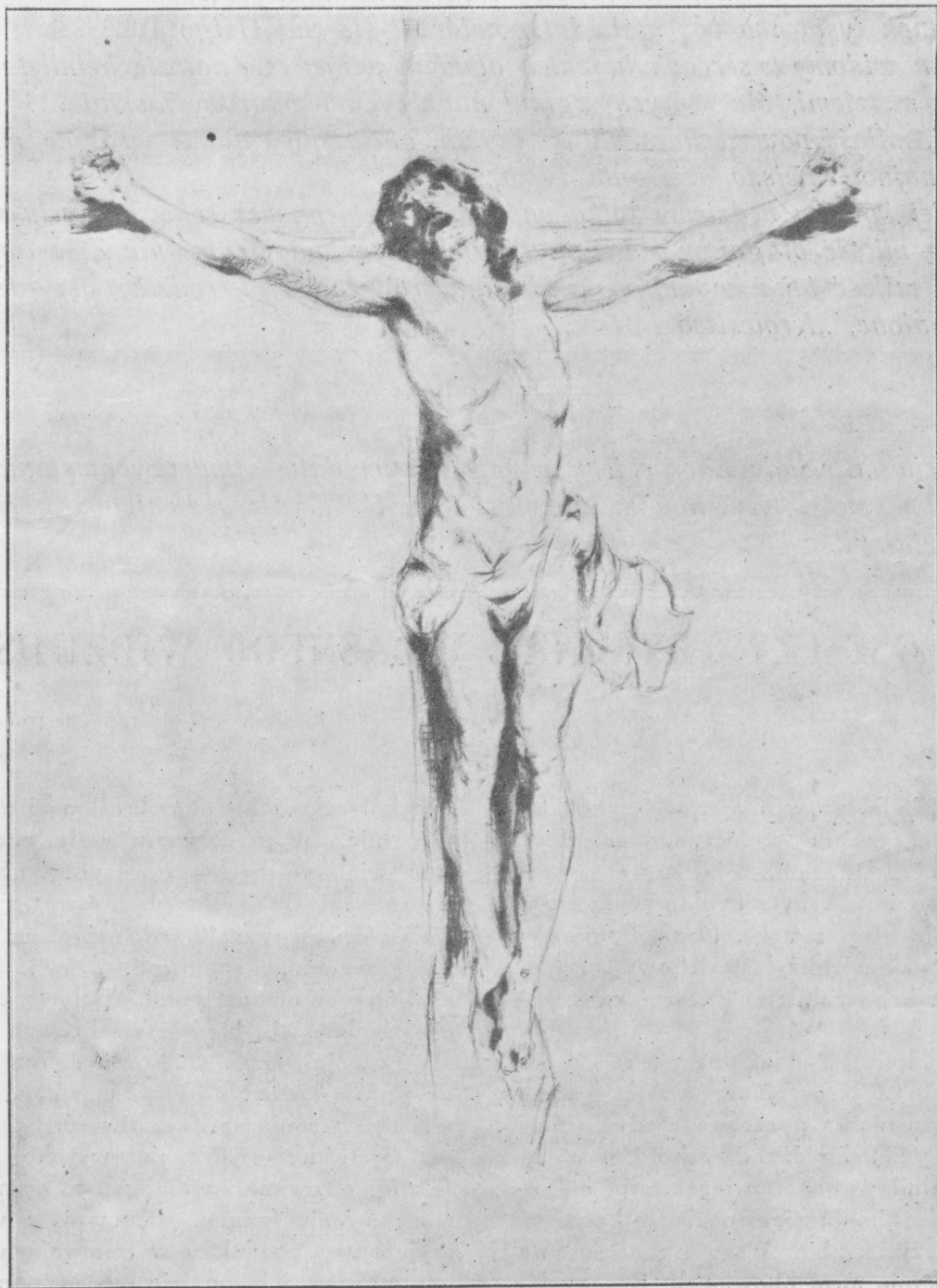
PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 50. TEL. 291-60

Warszawa

12 kwietnia 1925

Rok II № 12 (21)



UKRZYŻOWANY

ARTUR W. HEINTZELMAN

Heintzelman
1925

Zmartwychwstanie!...

Przez wszystkie ziemie świata biegnie radosny, tryumfujący okrzyk: Zmartwychwstał!..

Pan nad Pany mocą swą zwyciężył straszliwe pęta śmierci, duch zwyciężył materję, i ku zbawieniu ludzkości całej wyszedł z mroków i otchłani grobu...

Dobro zatryumfowało nad złem...

Taki jest rzeczy porządek, ustanowiony przez Sity Najwyższe od dnia Zmartwychwstania Pańskiego...

I Polska nasza, po długim spoczynku w grobie niewoli, zmartwychwstała...

Wyszła z mroków ku jasnemu, cudnemu życiu wolności...

Po dwóch tysiącach bez mała lat powtórzył się cud Golgoty...

Cud ten widomy w sercach ludzkich obudzić winien owe najszlachetniejsze hasła, które głosił Chrystus na ziemi, dla których zginął na krzyżu i zmartwychwstał..

Miłość, miłość powszechna, miłość czysta, obejmująca nawet wrogów, miłość wszechprzebacząca, najpotężniejsza dźwignia życia...

Bez niej bowiem będziemy tylko pustym dźwiękiem, bez echa, bez celu w życiu...

O taką miłość blagajmy Pana nad Pany w tym cudownym dniu Zmartwychwstania...

A gdy miłość taka zapanuje na ziemi, wśród ludów i rodzin, przyjdzie nareszcie owo, tak upragnione, „Królestwo Boże“...



Redakcja „Biesiady Literackiej“ w precudnym dniu Zmartwychwstania Pańskiego, składa wszystkim swoim Czytelnikom, Przyjaciolom i Współpracownikom gorące życzenia radosnego „Alleluja“...

KARNOŚĆ CZY TRYBUNAŁ WŁASNEGO WIDZIMISIEŃ?

Karność powinna być podjęta dobrowolnie. Jeżeli nie jest dobrowolnie podjęta, powinna być nałożona.

B. Mussolini

Zdarzył się niedawno w Warszawie fakt, który jednak nie utonął wśród stołecznego rozgwaru spraw codziennych. Owszem, zajął nawet uwagę miasta na parę godzin. A była to doprawdy rzecz niezwykła, gdy do pomnika ks. Józefa Poniatowskiego na placu Saskim zbliżył się listowy i na płycie „Mogily nieznanego żołnierza“ złożył kartę pocztową.

Wprawdzie adresat wymieniony na karcie pocztowej był istotnie dość oryginalny. Ale — adres był, a również była marka pocztowa. Tedy listowy złożył kartę ra płycie, doręczył ją adresatowi.

Listowy spełnił swój obowiązek. Spełnił sumiennie. Kierowało nim bowiem poczucie karności.

Organizacja życia zbiorowego oparta jest na tem, że każdy spełnia swój obowiązek. Bez względu na to, jakie są co do tego osobiste zapatrywania. Jesteśmy kółeczkami maszyny społecznej. Ka-

zde kółeczko ma rolę określoną i musi swą pracę wypełnić. W przeciwnym razie zacznie szwankować działanie mechanizmu społecznego. Wkradnie się rozstrój do życia zbiorowego. Rewolucje bywają różnego rodzaju. Ale najgorsza rewolucja płynie z bezładu, z samowoli. Dawno już narzekano, że Polska nierządem stoi. Były to czasy demokracji szlacheckiej, kiedy szlachcic na zagrodzie był równy wojewodzie. Ale minęła już ta epoka, kiedy prawie każdy, z okrzykiem: „Hajże na Soplicę“, wymierzał sobie sprawiedliwość.

Jesteśmy społecznie wysoko zorganizowani. A zorganizowane społeczeństwo oparte jest na zróżniczkowaniu funkcji. Poeta pisze wiersze, szewc szyje buty, konduktor w tramwajach sprzedaje bilety. Praca ich wydaje owoce wtedy, jeżeli jest wykonywana sumiennie.

Praca powinna być radością, może być nie-

szczęściem. Ale zawsze musi być obowiązkiem. Ten obowiązek, to służba społeczna. Niema życia poza społeczeństwem.

Tarzan wśród małych znajduje się także w społeczeństwie-zwierząt. I tam też każdy ma do wypełnienia pewne czynności, płynące z faktu życia gromadnego. Wiemy dziś, że i wśród zwierząt panuje posłuch. Zwierzęta słuchają swego przewodnika, muszą go słuchać, bo inaczej grozi im niebezpieczeństwo zagłady.

Wszelka działalność społeczna musi być oparta na zasadzie podporządkowania funkcyjnego. To jest podstawa życia zbiorowego. Na tem też polega postęp społeczny. Inaczej wytworzy się bezład, anarchja. A to przecież nie jest ideałem, do którego dążymy. Życie społecznie zorganizowane musi być oparte na twórczym pierwiastku ładu. Ale ład osiąga się wtedy, jeżeli każdy robi to, co do niego należy. Nic więcej.

Każdy powinien spełnić swój obowiązek.

Ale czy wypełnił swój obowiązek Muraszko, zabijając Bagińskiego i Wieczorkiewicza?

Gdy go aresztowano, Muraszko oświadczył, że spełnił czyn patriotyczny, zabijając zbrodniarzy. A więc w swoim przekonaniu Muraszko spełnił nakaz sumienia czyli wypełnił swego rodzaju indywidualnie pojęty obowiązek. Uczynił sprawiedliwości zadość.

Tak.

Ale coby się działo, gdyby każdy, wedle swego osobistego sumienia, wymierzał sprawiedliwość? Gdyby policjanci, zamiast eskortować skazańców z sali sądowej do więzienia, zabijali ich po drodze? Albo gdyby prokurator niezadowolony z wyroku sądu, zabijał własnoręcznie podsądnego? Podobno gdzieś w górach Korsyki istnieje jeszcze prawo *vendetty*. Ale czy Muraszkwowie wyobrażają sobie, jakby Polska i wogóle kraj cywilizowany wyglądał, gdybyśmy wszyscy zaczęli stosować *vendettę* w myśl zasady „oko za oko, ząb za ząb“?



NA KALWARJI

ERIC GEORGE

Jezeliby tak nagle wszyscy zechcieli, słuchając swego głosu sumienia, wymierzać sprawiedliwość, kraj cywilizowany zamieniłby się w zbiorowisko dzikusów walczących z apaszami.

Muraszko przekroczył granicę czynu społecznie mu zakreślonego. Nie spełnił swego obowiązku? Gorzej, nadużył swego obowiązku.

Powinien był baczyć, aby się skazańcom nic nie stało. Tymczasem on, zamiast roztoczyć nad nimi opiekę, co było jego obowiązkiem, skazańców zabił.

Gdy zastanowimy się nad istotą czynu, płynącego z nieposzanowania obowiązku, a nawet z ucynionego nań zamachu, widzimy całą potworność tego, co uczynił Muraszko.

Wobec tej potworności błędnie ta krzywda, jaką czyn ten wyrządził interesom państwa oraz tym, którzy po tamtej stronie granicy mogą życiem przypłacić eksperymenty samosądu, płynące z psychozy czy też z indywidualnie pojętych kryteriów w zakresie działalności życia zbiorowego.

Nie jest to zgoła zatarg etyczny jednostki ze społeczeństwem.

Muraszko zabił Bagińskiego i Wieczorkiewicza, zamiast się nimi opiekować w czasie podróży, co miał właśnie polecone przez swoich zwierzchników.

Zamiast wypełnić włożony nań obowiązek czuwania — zabił! Potworne.

A zabił dlatego, ponieważ nie miał poczucia karności.

Społecznie—to jest bardziej zatrważające. Życie społeczne nie da się pomyśleć bez karności. Każde dobre spełnienie obowiązku płynie z poczucia karności. Owo poczucie, to świadome podporządkowanie się woli zbiorowej wprowadzającej ład i praworządność w stosunki międzyludzkie.

Krańcowy indywidualista Nietzsche powiada jednak: „tam, gdzie kończy się państwo, zaczyna się dopiero człowiek...”

Tam, gdzie policjant eskortuje skazańca nie kończy się jeszcze państwo, owszem jest wtedy to państwo jaknajbardziej zaakcentowane.

I tam niema człowieka. Tam jest policjant. Stróż bezpieczeństwa. Wykonawca prawa. Powinien on spełniać sumiennie swój obowiązek. I co więcej, musi on mieć wdrożone wysokie poczucie karności!

A cóż będzie, jeśli właśnie niekarni będą policjanci?

Niekarny policjant, nie spełniający swego obowiązku, to dynamit podłożony pod bezpieczeństwo państwa.

ZMARTWYCHWSTANIE

*Już rolnik orze ziemię spulchnioną, wilgotną,
Słońce świeci na niebie, wiatr strumyk potraça,
Skowronek śpiewa w górze, wierzba kotki
[strąca.*

A człek myśli, duma, w duszy jakoś markotno...

*Wiosna idzie nowa — woń fijołków roznosi,
Każdy ptak świergoce brzęczą muszki, ko-
[mary.*

*Nad łąką, widne zdala, wzbijają się opary —
Gdy rzęsisty wiosenny deszczyk ziemię zrosi.*

*Natura, dziełem ważnem, bo twórczem prze-
[jęta,*

*Na smutki niema czasu, gdy chodzi o życie;
Nadzieję żywi każda istota w wszechbycie.*

*Dusza ludzka, jak anioł skrzydlaty, rozpięta,
Ponad ziemskie padoly myślą w górę wzlata,
By w miłosnem ujęciu ujrzeć świat i brata.*

ZOFJA WOLERTOWA



Prof. W. L. EVERT

DZIESIĄTY KWIETNIA ROKU PAŃSKIEGO 1525

Działo się między Orszą a Obertynem. Po piorunie, rozbijającym przeciwkopskie trójprzymierze o podziałowych z kusach, a przed oslepiającą kłuskawicą polskiej taktyki bojowej. Kongres wiedeński z roku 1515, z łańcucha, mającego zadusić Polskę, po nadwyreżeniu jego ogniw zromem Orszy, usnała wiążąca go klamrę — cesarza Maksymiljana; rozejm z roku 1522 zabe pieczył na lat 12 w ch dnia granicę Litwy, uwalniając państwo Polsko-Litewskie od walk z Moskwą; król Ludwik II Jagiellończyk, sprawował swe mało chlubne rządy w Węgrzech i Czechach. Dynastia Jagiellonów połączyła w osobach dwu monarchów — stryja i siostrzeńca — cztery państwa, związane unją personalną, z s w wspólnej ko pl ks unją dyn styczną, której walor na początku wieku XVI niewał jeszcze donio łe, jeżeli nie decydujące znaczenie.

Groźne chmury politycznej b rzy, grożące katastrofą, a zawisłe nad Polską w roku 1514, to w roku 1515 jeszcze, rozwiały się bez śladu. Zwycięska na polach walk orężnych i dyplomatycznych, mimo niewyzyskania pierwszych i marnowanie drugich, mogła się Polska kusić o rozwiązanie wszystkich trudności, o rozstrzygnięcie wszystkich pytań.

Polityczny, społeczny i religijny orkan r formacji, maćący Cesarstwo, zatraćający Francję, wiązał ręce czujnym sąsiadom. Polska — mimo wstrząsy dwu wojen rosyjskich, była nieskrępowaną jak nigdy może.

Los, wynagradzający Polskę za genialny posiew Piastowy, — za znojny, owocny a wielki trud państwowo-twórczy tej dynastji duchowych mocarzy, szczodry dla Jagiellonów, zbierających żniwo tytanicznej orki Mie zków, Bolków i Kazmierzów, dawał im jedną możność po drugiej, coraz to nowy

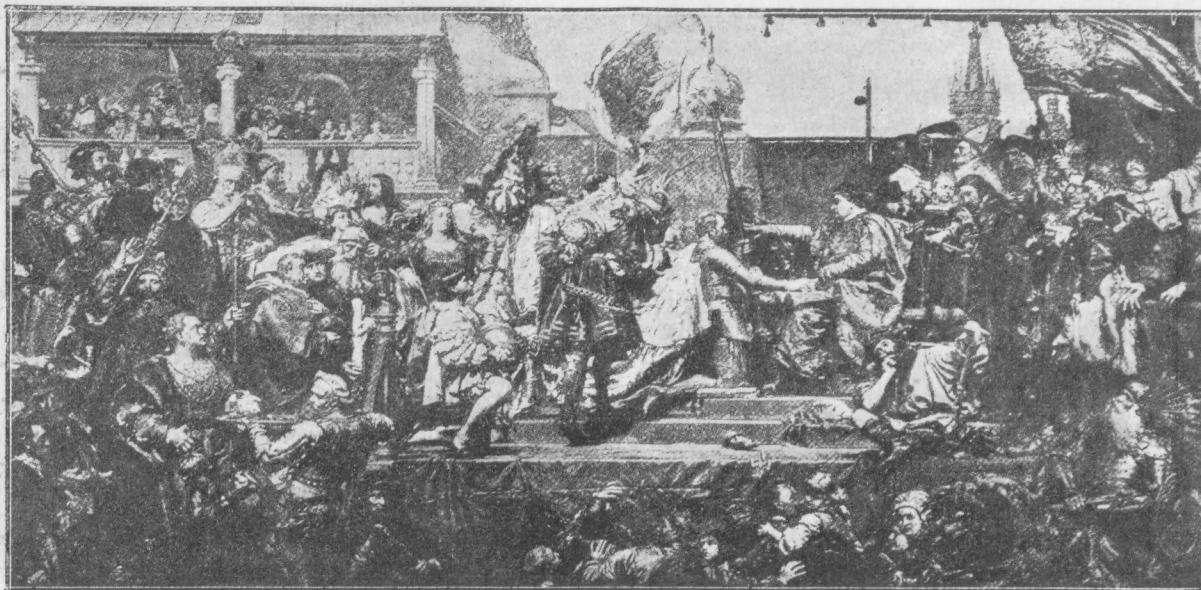
dar ofiarując ze swej bogatej kiesy. W znamienym pierwszym ćwierć wieczu wieku XVI, dwukrotnie ofiarował im Prusy (w roku 1521 i 1525), zaś w rok po odruceniu tego, ostatnio ofiarowywanego daru, podsuwał ł skawie Czechy i Węgry, a co najmniej już, prastary piastowy Śląsk, których trony osierocił Ludwik Jagiellończyk (padł w roku 1526 w bitwie pod Mohaczem).

Dary Opatrzności nie zostały przyjęte: wroga — śmiertelnego wroga nie zabito — ograniczono się do zmuszenia go, by dnia 10 kwietnia r. 1525, zgiał kolano na rynku krakowskim. Dzień hołdu Pruskiego jest symbolem jagiellońskiej polityki — jest najznamienniejszym przykładem polskiej mocy — i — polskiej bezprzykładnej łaskawości, lekkomyślnej, karygodnej wprost, dobrotliwości, polskiego amilitaryzmu, ufności w cudzą uczciwość, niechęci i niezdolności do śmiałych zdobywczych po unieć, gotowości do poprzestawania na pół-wyniku, z wiarą, iż jakoś to będzie...

Dzień 10 kwietnia roku 1525, dzień polskiego tryumfu był nietylko zadokumentowaniem polskiej potęgi — był on jednym z ogniw łańcucha wydarzeń, którego miano: stosunki polsko-krzyżackie. A jako taki, miał ognia poprzedzające i ognia następne.

Przypomnijmy sobie niektóre z tych zdarzeń. Sprowadzony do Polski w roku 1226. Zakon Krzyżowy*), rósł i tuczył się łaską książąt mazowieckich, mocny poparciem rycerstwa i panów Europy, potężny sprężystością i talentami swych wo-

*) Należy pamiętać, iż do pomocy Zakonu uciekł się Konrad, po zużyciu sił własnych i po upadku polskiego zakonu rycerskiego, mało chlubnej pamięci, Braci Dobrzyńskich, założonego za radą biskupa Chrystjana przez Konrada.



HOŁD PRUSKI

JAN MATEJKO

dzów, świetną organizacją, zdobywczą przedsiębiorczością, wewnętrzną spójnością i wojowniczym duchem. Już w roku 1311, zawezwany do pomocy przez Łokietka, wypędza Zakon brandenburski, którzy najechali właśnie Pomorze — lecz Pomorze to, odwieczną dzierżawę piastową, perłę Chrobrowej korony, obłudą, zdradą bezczelną i siłą żelazną, wykorzystując opresję Polski — zatrzymują dla siebie.

Cały wiek XIV, to rozrost zakonnego państwa, wrosłego mocno w pomorską, pruską ziemię, kosztem Polski, Litwy i Żmudzi — cały wiek XIV to rozpieranie się i umacnianie zakonu, na częścią zdobytych, a częścią ukradzionych wprost, ziemiach, to nieprzerwalne żerowanie na ciele Polski.

Połączenie się Polski z Litwą było przyłożeniem ostrza miecza do krzyżackiej gardzieli. Aczkolwiek genjusz Witolda i niedołęstwo a ustępliwość Jagielly, skrzywiły i spaczyły myśl panów małopolskich, zaś inkorporacje Litwy zastąpiły luźnym z nią związkiem, jednakowoż powstała potęga, uniemożliwiająca dalszy rozrost i dalsze żerowanie krzyżackiego gadu.

Dyplomacja zakonna wyteża siły, by rozplomić ambicje Witolda, Wielkiego księcia Litwy (Jagiello został nominalnym raczej, zwierzchnim wielkim księciem), pchnąć go na wschód, oderwać od sojuszu z Polską i wierności Jagielle, łudząc mirażem, Imperjum Wschodnio-Słowiańskim. Ambitnemu a wielkiemu duchowi Witolda, śni się podbój Moskwy, śnią olbrzymie obszary jego, królewskiej, władzy podległe. Bitwa nad Worskłą w roku 1399, rozbija witoldowy sen o potęgę, rzuca go ponownie w zależność od Polski.

W obliczu dokonanego zwrotu, witoldowych zamierzeń porażki i nawrotu do założeń inkorporacji, Zakon ujrzał się zmuszonym do decydującej orężnej rozprawy. Długo odwlekana nastąpiła wreszcie w roku 1410, by zakończyć się klęską grunwaldzką, znakomitem zwycięstwem, odniesionem głównie przez polskie rycerstwo. Wódz naczelny wojsk polskich, Zyndram z Maszkowic, który po odmowie cudzoziemskich znakomitości podjął się dowództwa i bitwę wygrał, naraził się czemś Witoldowi — znikł też z widowni dziejowej, nienagrodzony i zapomnian, nie tylko przez króla, który mu sławę zawdzięczał, lecz i przez potomnych, powiększając swą osobą, okazałą liczbę zapomnianych i niedocenionych przez Polaków, polskich znakomitości. Jeden z największych, jak wnosić po Grunwaldzie można, wodzów XV wieku, przeszedł przez dzieje — niespostrzeżony niemal. Takim niestety, jest los wielu wielkich Polaków, którzy stali się jeno cieniem — nazwiskiem — garsteczką liter — gdy nieskończenie mniejsi cudzoziemcy, puszą się na kartach dziejów, lśnić brązem i granitem pomników...

Grunwaldzkie zwycięstwo było na rękę Witoldowi — zupełne zgnębienie Zakonu — nie. Bezwzględny i ostateczny ryumf Polski, pomniejszał by dla niej niepomierne wagę litewskiego sojuszu, zaś Litwę, z kolei, niesharmonizowaną, słabo spojona wewnątrznie uzależnił od Polski. Litewski rozum stanu nakazywał pobicie Zakonu — zabraniał rozgromu. Witold zwyciężył — wojna skończyła się

w 1411 r. pokojem Toruńskim, ocalającym Zakon, a oddającym Żmudź Witoldowi i Jagielle w dożywocie. Oddajmy głos Długoszowi: *) „...ułożone zostało przymierze, pod warunkami wcale dla Królestwa Polskiego niepomysłnemi... król polski wszystkie zamki w ziemi pruskiej orężem zdobyte, mistrzowi i zakonowi zwrócił i z nich ustąpił... wszystkich bratców wojennych... wypuścił... Dziwić się zaiste potrzeba... jaką Królestwo Polskie ponosiło krzywdę, przez oderwanie ziem, które wówczas mogły być odzyskane... (które) w czasie oblężenia Malborka sami krzyżacy odstępowali... lubo zaś panowie rada czuli bardzo tak wielką Królestwa stratę, nie mieli nic przeciw niej mówić, aby króla i księcia nie obrazili. A tak, przez największą nieroztropność króla i księcia, równie jak panów rady, sławne ono a pamiętne pod Grunwaldem zwycięstwo na nic prawie, owszem na sromotę wyszło, gdy żadnej Królestwu Polskiemu nie przyniosło korzyści...“

Mylił się w swej zbyt ponurej ocenie, stary Długosz — zakon rozbity, do dawnej potęgi nie wrócił. Nie zdoławszy pokonać Polski w pierwszej ćwierci wieku XV — musiał upaść w wieku tego schyłku. Żniwo Grunwaldu zebrał Jagiello wy syn — Kazimierz.

Zakon wyhodował sobie śmiertelnego, najstraszniejszego, bo wewnętrznego wroga, we własnych poddanych. Oni to, w postaci Związku Jaszczurczego, spowodowali upadek Zakonu, poddając się Polsce wywołali i własną ofiarnością żyć i mie-

*) Długosz IV 118 cyt. według tekstów źródłowych, wybranych przez prof. Jana Dąbrowskiego.



DROGA KRZYŻOWA

LUINI

nia, wzmocnili a umożliwili Wielką Wojnę Pomorską, wojnę trzynastoletnią, prowadzoną z najwyższym natężeniem przez Polskę, a zakończoną nowym pokojem toruńskim, dzielącym państwo krzyżackie, zwracającym część Prus Polsce, pozostałe zaś ziemie krzyżackie oddającym w lenno zakonowi. Pokój Toruński, zawarty 19 października 1466 roku, był maksimum tego, co w ówczesnym swym stanie mogła osiągnąć Polska. Stawiał on uszczuplone państwo zakonne w lenną zależność od Polski, zwracał jej pokąźną część utraconego, zapewniał poddanym Królestwa Polskiego wstęp do zakonu i dostęp do wszelkich w nim godności. Tym ostatnim warunkiem otwierał przezorny Kazimierz możliwość zupełnego spolszczenia zakonu, spadnięcie zakonnego państwa, jak dojrzałego owocu, na ziemię polską — droga, którą Ferdynand katolicki owdładnął rycerskimi zakonami Hiszpanji stała otworem. Bądź co bądź, stały upadek zakonu był dziejową koniecznością, niezawodną konsekwencją Toruńskiego pokoju. Był kwestją czasu. Raczej bliższego niż dłuższego. Już synowi najmłodszemu Kazimierza, Zygmuntovi I wystarczyło wyciągnąć rękę, by zabrać ziemie zakonne — bez walki prawie, bez oporu niemal. Wyciągnął... by postawić na kolana i zatwierdzić nowego, świeckiego księcia Prus. Kończy się państwo krzyżackie — zaczyna pokrzyżackie. Pierwsze jadło Polskę. Drugie ją rozebrało. Mistrzowie hołd składali niechętnie. Unikali go jak mogli. Wielki Mistrz Albrecht Hohenzollern-Ansbach, siostrzeniec Zygmuntovi, odmawiając hołdu, toczy w 1521 roku wojnę, kończącą się w rok jego porażką, zajęciem zakonnego państwa i — — przebaczeniem Zygmunta, a wycofaniem wojsk polskich.

Tymczasem coraz więcej szerzyła się reformacja. Albrecht porzucił wiarę katolicką i postanowił przeobrazić zmurszałe państwo zakonne w świeckie księstwo. Polska miała w czas ów rozwiązane ręce — zakon znikąd nie mógł liczyć na poparcie. Epoka rycerstwa minęła. Cesarstwo rozpadło się wewnątrz na dwie wrogie połowy. Nie daliby pomocy w wojnie z Polską, Albrechtowi — odstępcy, niemieccy katolicy — nie byli w stanie dać jej ewangelicy. Cesarz Karol V, mimo całą potęgę i obszary swych dzierżaw, z francuskimi wojnami na karku, z turecką grozą nad Austrią, był niebezpieczeństwem — nic więcej. Należało wyciągnąć rękę — nic nadto. Albrechtowi poddani byliby najgorętszymi sojusznikami. Jeżeli było ryzyko — było ono minimalnem. Miast niezezwolenia na sekularyzację Prus, miast krótkiej — w najgorszym razie — wojny, i powrotu do piastowych czasów, zezwolił Zygmunt na zeświecczenie Prus, zadowolnił się złożeniem hołdu, zamianą zakonnego lennika, na lennika świeckiego.

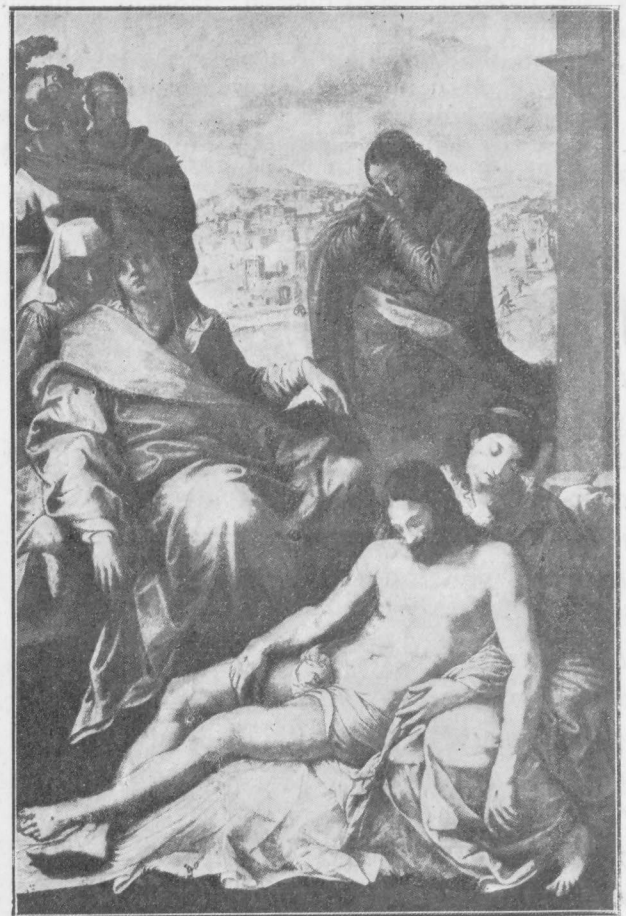
Dorobek trzech wielkich wojen został, jeżeli nie zmarnowany, to bądź co bądź, wypuszczony z rąk. Ocaliwszy zasadę przynależności Prus do Polski (prof. O. Halecki) utraciła przynależności tej — — rzeczywistość. Klauzule najwygodniejsze układu z roku 1525 roztrwoniał spadkobiercy Zygmunta.

Hołd Pruski był niezaprzeczalnie tryumfem Polski, był zadokumentowaniem Jej potęgi i mocy,

świadectwem Jej przewagi, upokorzeniem najgorszego wroga, piękną kartą naszych dziejów, jednym z liści wawrzynu wieńczącego głowę Polski — lecz zgięcie kolan przez księcia Albrechta na rynku krakowskim w dniu 10 kwietnia roku Pańskiego 1525, była zarazem niewzniesieniem się polskiej woli do należytego poziomu, było anemją myśli politycznej, było wskaźnikiem, iż Polska iść zaczyna po linii najmniejszego oporu, — a linja ta zbyt często wiedzie do upadku.

Hołd Pruski jest piękną kartą dziejów — wielkim tryumfem Polski i wielką nauką. Nauką, że najłatwiejsze rozwiązanie, jest często najgorszym rozwiązaniem, iż trzeba nieraz bić się dziś, by nie umrzeć jutro, że każde omdlenie woli opłaca naród ciężko, że, wreszcie, każde dzieło należy doprowadzać do końca.

Wiadome są dalsze hołdu ogniwa. Klauzule pomyślne układu stopniowo a stale paczono i zaprzepaszczano. Niewykorzystywano dogodnych chwil. Polska, rzucona w odmet wojen moskiewskich, zaabsorbowana przez litewskie sprawy wyniszczała swe siły na wschodzie. Wywołana przez Zygmunta III sześćdziesięcioletnia, zbrodnicza, nienaturalna, samobójcza wojna szwedzka, doprowadziła za najmniejszego bodaj króla, Jana Kazimierza do Potępu. W ciężkich zmaganiach się Polski z cztere-



OPŁAKIWANIE CHRYSTUSA
GIROLAMO SICIOLANTE da SERMONETA

ma najeźdźcami a pięciu wrogami (Moskwa, Szwecja, Rakoczy, Brandenburgia i kozactwo). Jan Kazimierz, idąc po linii najmniejszego oporu, salwując wschodnie połacie (których i tak nie ocalił) zaprzępaszcza zachodnie, zwalniając traktatami Welawsko-Bydgoskimi (1657 r.) Prusy z lennej zależności od Polski. Ognisko polskiej irredenty utrzymuje się długo — grozi wybuchami buntu na rzecz Polski za Korybuta jeszcze. Opuszczone Prusy, oglądające porwanie z Warszawy przywódzcę partii polskiej w Prusiech, Kalksteina, dają się nagiąć i shohenzollernić. W 1701 roku powstaje królestwo pruskie i Fryderyk III Margrabia Brandenburski i książę Pruski staje się Fryderykiem I, królem na Prusiech. Prusy Wschodnie, Prusy książęce, tak niedawno jeszcze dążące do zlania się z Polską, stają się ogniskiem hakaty, ostoją junkierstwa.

Trzeci z kolei król na Prusiech nosi miano Fryderyka I. Rozdzielone na dwie części królestwo Pruskie, musi wegetować lub zrosć się. Zrosć się może tylko kosztem Polski. By to uczynić musi ją osłabić, zgangrenować, uniemożliwić Jej uzdrowienie, zwalczać ją podstępnie a stale — inaczej grozi wiecznie Prusom wznowienie Jaworowskiego planu Jana III — utrata najpiękniejszej części, b. Prus książęcych, kolebki zakonnego państwa.

Jeżeli ma istnieć potężne Królestwo Pruskie, musi upaść Polska, a przynajmniej osłabnąć tak, by dała się ograbić. W Prusiech rządzą Hohenzollernowie i Fryderyk II — w Polsce Sasi — a zwłaszcza August III i Stanisław August Poniatowski.

W 1772 roku nastąpił pierwszy rozbiór Polski.

Prognostyków jego nie można i nie wolno szukać w Hołdzie Pruskim — taił się w nim, jednak, związek polskiej tragedji.

W DNIU ZMARTWYCHWSTANIA

*Na twarz upadły pobladle strażę
zlatuje anioł z ognistym mieczem
i ogniem Słowa zetrze, wymaże
wszelką nikczemność w sercu człowieczem.
Opada z serca płyta grobowa,
kamień codziennych gnuśnych małości
i jasna dobra dłoń Chrystusowa
zasiewa ziarno wiecznej miłości.
I błogostawi całego świata
krwawe rozpacze, podłości, grzechy:
rękę oprawcy i rękę kata —
pijane wrzaski, bluźniercze śmiechy,
i Piłatowe umyte ręce
i rozbestwionej okrzyki czerni
z wszechprzebaczenia, w poświęceń męce
wyrasta miłość — róża wśród cierni.*

BOŻYMIR

B R A C I O M

*I w najuboższej nawet duszy — na dnie
Można odszukać świętą iskrę Bożą,
Często bezwiednie i marnie przypadnie;
Świat ją przytłumi, ludzie upokorzą,
Tak szybko blask jej przygasa i blednie
Tak się promyczki rozszczepią, rozłożą,
I w szorstkich tkankach leży upowita
Ta iskra święta, twórcza — niespożyta!*

*Czasem znów — cennej tej Bożej iskierce
Los się przyjazny rozświetlić pozwoli,
Umysł rozjaśni i ogrzeje serce,
Przyświeca myślom, pracom — dobrej woli,
Nie da opuścić rąk w życia szermierce,
Jednostkę ściśle z ludzkością zespoli,
W spojrzeniu — blaskiem niezawodnym świta,
Ta iskra święta, twórcza, niespożyta.*

*Czasem ta iskra Boża widna zdala
Płomienistego blasku wnet dosięże,
Aż wielkich natchnień zawsze czysta fala,
Lub myśli nowych zabrząknie orężę.
Duch spotężniały w gwiazdę się rozpala
I wstają wiedzy — pieśni — czynu męże,
W liść im dębowy, w wawrzyn, w cierń rozkwita
Ta iskra święta, twórcza, niespożyta...*

*Nie wątpcie o niej!... Ona lśni i czuwa
Pod czołem myślą zoranem, lub potem
O ciężkiego trudu zroszonem; zasmuca
Tęczami dążeń — i postępu złotem
Szare tło życia, — w posągi przekuwa
Bezkształtne bryły wielkim czasu młotem,
Świeci promykiem niczem niezgaszonym
Maluczkim nawet i wydziedziczonym...
Nie wątpcie o tych, którzy nie umieli
W głębinie ducha rozpalic pochodni
Z zapadłej iskry. — Ustami nie tknęli
Puhara myśli — spragnieni i głodni,
W udziale szare nędzy szaty wzięli;
Wszechludzkiej, wielkiej i cierplwej godni
Miłości, która niczem niezwalczona,
Wszystkich — w potężne swe brali ramiona
Myśmy jej jedni drugim winni wiele
Za długie lata — wieki — pokolenia.*

*Gdy w obumarłem, odrętwiałem ciele
Serce zadrgało Wolnością, zwątpienia
Łańcuchy pękły, w lenistwa popiele
Nie grzęzną dłonie, pycha nie zaciemnia
Spojrzenia w Przyszłość — to — czem walki więcej
Pracować chętniej i kochać — goręcej!*

JAK BYĆ MOGŁO

NIEURZECZYWISTNIONA OPOWIEŚĆ LOTNICZA

Włożył zapisaną ćwiartkę do koperty, zwilżył szybko gumę językiem, zamknął kopertę i zawołał:

— *Wachtmeister Knobloch* — oddać to posłańcowi, który przed chwilą list przyniósł.

Rudy, zarośnięty, otyły, o krzywych nogach i w okularach na nosie wachmistrz Knobloch, pełniący, jako niezdolny do służby frontowej landszturmista, obowiązki sekretarza przy komendancie służby wywiadowczej, wyprostował się o ile pozwalały mu krzywe nogi, ujął papier i wykręciwszy się sprężystością na obcasie, ruszył ku drzwiom.

Po chwili wrócił.

— Już oddane, panie komendancie — zapoportował.

— A na rachunek 32-47 zapisać sto marek.

— Słucham, panie komendancie.

X

Dopiero, gdy Żarski, umywszy się, zasiadł do herbaty, ogarnęło go znużenie. Rozmawiał z żoną rozradowaną szczęśliwym jego powrotem, ale pomimo że wesołe promienie słońca wiosennego wpadały snopami do pokoju i pomimo, że szyby dźwięczały od gwałtownego grzmotu dział dalekich, oczy kleiły mu się tak do snu, że w końcu nie wytrzymał i zawołał:

— Muszę się przespać. Wrażenia nocy dzisiejszej wyczerpały mój organizm. Nerwy dopominają się na gwałt odpoczynku.

Żarska, którą w głębi duszy strachem przejmował coraz uporczywszy grzmot dział, chciała mu w pierwszej chwili zwrócić uwagę na możliwość zbliżenia się nieprzyjaciela do miasta, gdy jednak spojrzała na zmęczoną twarz męża, podeszła do niego cicho i pocałowała w czoło.

— Idź, idź, połóż się, mój bohaterze.

Żarski uśmiechnął się na te słowa, a po chwili spał już w sąsiednim pokoju snem głębokim.

Pozostawszy sama w jadalni, Żarska siadła na otomani, aby odpocząć, bo i ją sen morzył. Mitka, skoczywszy na otomanę, ułożyła się na niej i oparła łepkę na kolanach pani.

Daleki grzmot dział jakby przycichał. Już tylko pojedyncze wystrzały słychać było od czasu do czasu.

Żarska nasłuchiwała z napięciem, wreszcie westchnęła z ulgą i zmrużyła oczy.

Przez uchylone drzwi od korytarza zajrzała Józefa i widząc, że pani śpi, weszła na palcach do pokoju, pozbierała ostrożnie szklanki ze stołu i wniosła się do kuchni tak cicho, jak przyszła.

Przez pewien czas słychać było jak się tam krząta, poczem drzwi skrzypnęły i w całym domu zaległa cisza głęboka.

Zegar nad otomaną cykał i wybijał poważnie godziny. Mitka od czasu do czasu otwierała oczy i nadstawiała uszu. Widocznie coś ją niepokoiło, ale widząc, że pani się nie rusza, znów opuszczała uszy i pogrążała się w drzemce.

Nagle Żarska ocknęła się i wyprostowała przeżona. Wszystkie szyby w oknach drżały od grzmotu dział najwyraźniej już znacznie bliższego niż zrana. Głębokie, rozległe grzmoty ciężkiej artylerji i częste, a krótkie, jakby urywane, strzały dział polowych rozlegały się prawie bez przerwy. Zdawało się, że cała atmosfera dygocze od nich, że kotłuje się cała od tej wrzawy piekielnej.

Biedna kobieta wpadła z okrzykiem na ustach do pokoju męża, ale zatrzymała się u progu i stłumiła okrzyk w gardle.

Żarski leżał na łóżku do połowy rozebrany. Nieład obok łóżka wskazywał, że inżynier padł znużony snem zanim zdołał zdjąć części ubrania położyć na krześle. Oddychał głęboko i marszczył przez sen czoło, jakby dla skupienia uwagi. Snadź niepokoiła go przez sen, wrzawa dochodząca z poza miasta, ale zmęczenie przemagało.



WILKI MORSKIE

STANISŁAW LENTZ

Na widok ten, Żarskiej zrobiło się żal męża. Popatrzała na niego ze współczuciem, rozmyślając co robić i wreszcie cofnęła się cicho.

Na palcach ruszyła do kuchni. Lecz nie było tam nikogo, otworzyła więc drzwi od sieni i zesłała na podwórze, Mitka, skomląc, rzuciła się na dwór za panią.

Tu wrzawa była jeszcze przeraźliwsza, obok bowiem grzmotu działa rozróżnić się dawał już suchy, ciągły trzask karabinów maszynowych, jakby grzechot mielonej kawy.

— Janie, Janie — zawołała Żarska, lecz nikt jej nie odpowiadał. Skierowała się zatem ku bramie.

Na ulicy panowało ożywienie nadzwyczajne. Środkiem ciągnęły tabory wojskowe bez końca. Przed domami, na chodnikach zgromadzone grupy mieszkańców spoglądały z niepokojem na poczerńniętych od słońca, brudnych i zmęczonych pod ciężkim rynsztunkiem żołnierzy, konwojujących wozy.

— Cóż, cofacie się? — spytał wyrobnik jakiś spoconego szeregowca.

— Widać, że się cofamy — odparł żołnierz, zapalając podanego sobie papierosa — skoro kazano nam tabory uprowadzić.

Prawie wszystkie twarze zwracały się otwartymi szeroko powiekami na zachód, skąd huk i grzechot dolatywały zapamiętałe, głuszac rozmowy. Gdzieś szyba pękła i wypadła z brzękiem na ulicę.

— Oho, pewnie kula — krzyknął ktoś z tłumu gapiów.

Jakby w odpowiedzi, z góry dolatywać zaczęły suche krótkie uderzenia: Tak, tak, tak, tak.

— Co to? — pytano dokoła.

— A idźcież, państwo, do domów — zawołał przechodzący żołnierz i dodał w charakterze objaśnienia: — To kule tak biją o ściany i kominy.

Nikt jednak nie myślał o opuszczeniu ulicy. Pozadzierawszy głowy, tłum spoglądał teraz w górę, jakby chciał dojrzeć owe tajemnicze posłanki śmierci, szybujące tam, nad głowami. Ale Żarską, zapatrzoną dotychczas w ten obraz niezwykle, ociepnął okrzyk żołnierza i dopiero wówczas spostrzegła, stojącego przed sobą w grupie sąsiadów stróża.

— Janie — spytała — nie widzieliście Józefy?

— Gdzie tam, proszę paniusi — odparł zapytany, obracając się szybko — jak poszła rano na rynek, tak jeszcze nie wróciła. Abo ją tam — dodał po namyśle — gdzie, co nie daj Boże, kula uciukała, albo nie może wrócić bez te wozy, co całe miasto zawaliły.

W tej chwili z dziesiątków ust wywał się okrzyk:

— Aeroplan, aeroplan.

Hen, w górze, wysoko, bardzo wysoko, ukazał się ten ptak wojenny, łyskając w słońcu białymi skrzydłami i huczac głucho. Na piersiach jego widniało godło krzyżackie.

— Prusak — zauważył Jan. — Pewnikiem znów bomby ciskać będzie. Niech paniusia idzie do domu.

Istotnie, zaledwie wyrzekł te słowa, gdzieś niedaleko rozlekl się trzask ogłuszający i brzęk szyb, wypadających z okien.

Wszystko z ulicy, oprócz żołnierzy, obojętnych już na odgłosy tego rodzaju i spełniających automatycznie obowiązki, rzuciło się w stronę, skąd trzask pochodził, a Żarska, przyciskając dłonią mocno bijące serce, cofnęła się do domu.

Żarski siedział na łóżku i nasłuchiwał zdumiony. Obudził go dopiero trzask bomby, rzuconej z aeroplanu, nie zdawał więc sobie jeszcze sprawy z tego, co się dzieje dokoła.

— Dobrze, żeś się obudził — zawołała napwół, z płaczem, ujrawszy męża.

— Jak widzę — odparł oprzytomniawszy już zupełnie — strzelają coś bardzo blisko. — Czy długo spałem? — dodał, ubierając się pospiesznie.

Żarska wyszła do jadalni i spojrzała na zegar.

— Już trzecia — zawołała sama zdumiona, nie przypuszczała bowiem, aby było już tak późno — Ah, Boże — dodała — co będzie z obiadem?

(D c. n.)



ZABAWA w CHOWANEGO

KRZYSZTOF ARCISZEWSKI

zdobywca Brazylii, admirał holenderski, starszy nad armatą Koronną

Do Holandji nadeszły wieści z Brazylii o porażce wojsk Maurycyego hr. de Nassau, które władze centralne skłoniły do wydania natychmiastowych zarządzeń, mających poprawę sytuacji na celu.

Wszystkim przyszedł na myśl memoriał Arciszewskiego, nawołujący do zmiany taktyki wojennej w Brazylii, i oczy wszystkich zwróciły się na niego.

On jeden odnosił tam zwycięstwa, on też jeden mógł znacznie wpłynąć na naprawę sytuacji i przywrócenie dawnego powodzenia orężowi holendrów.

Pod wpływem głosów opinii, stany holenderskie uznały, że przeszłość Brazylii, a nawet utrzymanie jej posiadania, polega na powierzeniu dowództwa Arciszewskiemu i w tym celu nawiązały z nim układy.

Tryumf Arciszewskiego był zupełny. Ambicja jego była zaspokojoną, to też przyjął proponowaną mu propozycję, stawiając warunki nader dla siebie korzystne.

W dniu 18 sierpnia 1638 r. został przez stany Generalne mianowany generałem artylerji i admirałem sił morskich holendrów w Brazylii, z płacą 750 florenów stałej pensji miesięcznej i 250 florenów stołowych, oraz innymi dodatkami, które miały podnieść powagę wodza w wojsku i wobec zarządu miejscowego w Brazylii.

Wybierając się do Brazylii, starał się nakłonić rodaka swego, Wiszowatego, by mu w tej sprawie towarzyszył, lecz tenże uchylił się od tego, wymawiając się brakiem pozwolenia rodziny.

IX

Ożywiony najlepszymi chęciami przybił Arciszewski w m. Marcu 1639 r. do Recifu z ośmioma okrętami i załogą, lecz zaraz na samym wstępie napotkał olbrzymie trudności, stawiane mu przez miejscowy zarząd.

Zaraz po przybyciu, hr. de Nassau począł okazywać mu zupełnie jawną niechęć, zwłaszcza, gdy Arciszewski, przeświadczony o swej roli wybawiciela, powołanego do tego przez rząd centralny, usiłował narzucić swą wolę i jemu, i jego otoczeniu.

Wyraz tej zaciętej walki dał Arciszewski w memoriale, złożonym Stanom Generalnym w Amsterdamie.

Składał w nim należne uznanie wojskowym zdolnościom swego przeciwnika, lecz jednocześnie przytaczał liczne dowody jego intryg przeciwko niemu.

A więc ujawniał, że udając pozornie zadowolonego z jego przybycia, jednocześnie słał hr. de Nassau kurjera do Stanów z żądaniem uwolnienia Arciszewskiego ze służby.

Następnie buntował mu wojska, na co znów przytaczał następujące dowody:

„Na dzień przed wylądowaniem, wysłałem do Recifu barkę hiszpańską, wziętą przed Isle de Ta-

go, gdyż yacht *Vleermuys*, opuścił mnie zuchwale i popłynął na szerokie morze. Daję znać, że jestem u brzegu z taką a taką siłą ludzi i statków, zapytując, czy nie chcą mnie gdzie wysłać *al improviso*, zanim nieprzyjaciel mnie wykryje.

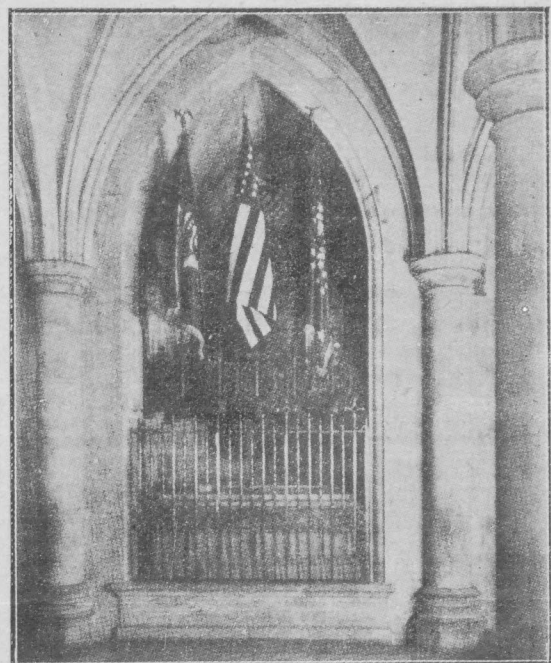
Odowiedziano mi, że nie ma wroga na wiodni, i że mogę przybić do portu.

Otrzymawszy tę wiadomość nad ranem, chciałem zarzucić kotwicę. Zaledwie jednak to uczynił, gdy pp. *Carpentier assesor* i *Wilhelm Corneliss*, którego tu admirałem nazywają, wezwali mnie na swoją barkę, i w tejże samej chwili gęste dymy armatnich strzałów okryły pawilon, i zdarły go z masztu, poczem jeszcze cztery nastąpiły salwy.

Biedny kapitan *Buysman* zadrzał, oglądając się wokoło, gdyż nie wiedział, co to wszystko ma znaczyć? Nie mogąc dosięgnąć pawilonu wyższego, zbliżył się do mnie, żaląc się na uczyniony mu afront. Ja udałem głupiego i nic nie odpowiedziałem, uczyniwszy mu tylko zarzut, że natychmiast nie opuścił pawilonu.

Wylądowawszy znalazłem w porcie dwa statki, które mnie opuściły na morzu, wbrew rozkazom i instrukcjom Kompanji, a mianowicie: *Zeerobbe* z kapitanem *Poen*, tym samym, co już od przylądku *Finisterre* nie chciał płynąć za moim pawilonem i odciągnął mi cały oddział żołnierzy, i *Vleermuys*, z kapitanem *Westphalinger*, specjalnie mi gwoli przybiciu do brzegu przydanym.

Zredagowałem bezzwłocznie przeciw tym kapitanom skargę, z żądaniem surowego ich ukarania za uczyniony mi afront.



Grobowiec twórcy niepodległej Polski, prezydenta Woodrowa Wilsona, w katedrze w Waszyngtonie

O faktach tych nie było co wspominać przed Jego Ekscelencją. Udałem się przeto do Wielkiej Rady z przedstawieniem, że interesa Kompanji wymagają ukarania owych indywiduów w obecnej chwili, gdy się ich ma już w rękę.

Wykazywałem przy tej sposobności, że takimi to czynami traci się to, co się nagromadziło ciągłymi usiłowaniami, że toż samo działo się z admirałem Pater, Jennemanem, przed Bahią, Houtebenem, obecnie w Indjach Zachodnich bawiącym, którzy zdradzeni i opuszczeni przez takich nędzników zrzadzili Kompanji niezmierne straty.

Wszystko to było bezskuteczne. Panowie z Recifu bronili owych nędzników, jako ugodzonych za małą cenę, co miało służyć za usprawiedliwienie.

Dla pozorów wyznaczono im jednodniowy areszt, lecz zaraz ich z mocy decyzji Rady zwolniono, z zamieszczeniem w sentencji, że podsądni są w prawie wytoczyć mi akcję o szkody i straty, z powodu aresztowania ich na skutek mej skargi.

Kapitan z *Vleermuys*, Westphalinger, wydalony został z rozkazu sądu, lecz była to tylko komedja. Hrabia Maurycy zwolnił go natychmiast od kary i powrócił na statek.

Słowem, nic z tego, com uczynił, nie było w oczach tych panów dobrem.

W myśl nadanej mi władzy, powierzałem w razie śmierci dowódców okrętowych w czasie podróży, urzędy ich innym, za zdolnych przezemnie uznanym, sądziłem bowiem, że mi taka władza, jako w czasie wojennym, przysługuje.

Gdym przybił do lądu, rozporządzenia moje nie zostały zatwierdzone.

Kazano nominowanym przezemnie zgłosić się na nowo po nominacje, z wniesieniem opłat.

Pan van Coeullen, przysyłając mi żołnierzy z otwartymi cedułami, śmiał mnie publicznie nazywać: komisarzem generalnym artylerji.

Ponieważ byłem niezdrów i nie mogłem osobście żądać satysfakcji, napisałem mu, aby na przyszłość pamiętał, że nie jestem jakimś komisarzem generalnym, lecz istotnym generałem artylerji.

Usprawiedliwiano się, że się stała omyłka, z tem wszystkim zapamiętano sobie zuchwalstwo moje, że o prawa swoje śmiał w taki upomnieć się sposób.

Jakkolwiek w Antony Vaez i w Recifie było wiele mieszkań wolnych, posunięto niegrzeczność względem mnie do tego stopnia, że dano mi dawne moje zrujnowane mieszkanie, z dachem zniszczonym, przez który przeciekała woda, i tak szczupłe, że zaledwie tam mogł pomieścić swoją chudobę, bez krzesła, ławki, stołu, drzwi i okien. Zmuszony byłem zająć się odrestaurowaniem tej siedziby, a tymczasem najałem za osobną opłatą mieszkanie u obcych. Dziesięciu murzynów, jacy mi w myśl kontraktów oddani być mieli do usług, składało się z niedołągów bez nóg, kobiet i dzieci; a gdym ich odesłał, domagając się mężczyzn, rozgniewano się wielce z tego powodu.

Było i wiele innych takich drobiazgowych dokuczliwości, lecz cierpliwość moja zmusiła owych panów do mniej głośniejszych, lecz za to skutecznych intryg.

* Pierwszy list, jaki posłałem do Zgromadzenia XIX, wywołał niezadowolenie.

Wykazałem tam, że krajowi zagraża głód, rezultat złego zarządu. Wyjaśniłem, że mieszkańcy nie mogli sobie zapewnić, choćby za wyższą cenę, dostatecznej ilości negrów do plantowania trzciny i uprawy roli. Lecz w liście tym nie śmiałem jeszcze wskazać bezpośredniej przyczyny, a mianowicie skąpstwa Panów Radców, gdyż list ten musiał przejść przez ich kontrolę.

Jak długo przemocą nie zabierano ludziom mąki, płacąc im 40 do 50 soldów za „alequairo“ (miara sypka), tak długo siał zboże i zarabiał na niem nieco. Lecz gdy ci Panowie obniżyli następnie cenę do 24 — 30 soldów, nie wystawiano już mąki na sprzedaż, a gdy wreszcie rozkazano moradorom dostarczać mąki po dowolnych cenach, laboradorowie opuścili zupełnie uprawę zboża i zabrali się do plantacji cukrowych. Spowodowało to brak zboża, a w następstwie i głód.

Rozgniewano się również o to, że w liście moim wzmiankowałem o braku sprawiedliwości, że opowiadałem o ucisku ludności ze strony rozbójniczych band żołnierstwa, nie powściąganym surowymi karami od nadużyć.

Widząc nakoniec, że wszystkie moje uwagi zwracają się przeciw mnie ze zdwojoną niechęcią, ze strony władz miejscowych, postanowiłem odtąd milczeć, cierpieć i wyczekiwać spotkania z nieprzyjacielem, które przeciwnikom moim dowieść miało, że zasługują na lepsze traktowanie i szacunek.

(D. c. n.)



Królowa półpością w Paryżu na audjencji u Prezydenta Republiki w pałacu Elizejskim

DZIEJE POWOZÓW DO WYNAJĘCIA I DOROŻEK W WARSZAWIE Z POWODU ICH ZNIKANIA

Fabrykacja powozów w Polsce jest tak starożytną, jak legenda o Piaście, który miał być kołodziejem. Do bardziej już realnych wiadomości o powoźnictwie u nas, mamy: prace Aleksandra Przędzieckiego p. t. „Życie domowe Jadwigi i Jagiełły“ mianowicie rachunki z ich dworu w latach 1388 — 1417.

Jest w nich mowa o „wozie nowym, całkiem żelazem okutym, (circumductum) zakupionym na rozkaz wyraźny królewski“ za cenę 4 grzywien. Że nie był to wóz zwykły do ciężarów, lecz przeznaczony do podróży królestwa, świadczy, iż zamówienie wyszło od króla, powtóre że wóz miał nakrycie podbite płótnem szarem, (plavea subducta tela), również iż cena czterech grzywien złotych była na owe czasy wygórowana.

Gdy już wiemy coś o dawności przemysłu powoźniczego, możemy od razu przystąpić do zaznaczenia, iż jeszcze za Augusta II Sasa nie było w Warszawie powozów do wynajęcia. Według pamiętnikarza tych czasów Ks. Kitowicza, ukazały się dopiero ku końcowi panowania Augusta III. Ten, który chciał wynająć karetę dla ostentacji, miał na niej namalowane fantazyjne herby i musiał posyłać sługę do siodlarza tę nowość utrzymującego. „Kareta ze stangretem w barwie od godz. 7-mej z rana do 12-ej południowej i znowu od godz. 2 popołudniu do godz. 9-ej wieczorem zimą, a latem do 10, płaciło się po czerwonym złotym, podlejsza po 12 złotych“.

Wynajem karek w Warszawie przetrwał do końca panowania Stanisława Augusta.

Za rządów oszczędnych i praktycznych prusaków, przedsiębiorstwa wynajmu karek upadły. Miasto wyludniło się, a panów karecianych zabrakło. Na miejsce karek, około 1801 r. ukazały się pierwsze dorożki. Autor „Dziennika“ pułkownik Ludwik Szczaniecki, pod rokiem 1804 pisze: „Przedtem za polskich czasów, było stojących na ulicy remiz 300, a teraz jest ich 60 i to jeszcze nie stoją na ulicy, tylko ją do domu trzeba najmować. Jest tu wprawdzie kilkaset koszyków jednokonnych, dryndulami zwanych, ale te są tak pospolite, iż do parady ich nie można używać“.

Statystyk Warszawy, Wawrzyniec Surowiecki, łagodniej i nie tak wymagająco traktuje tą sprawę. Mówi, że: „remizy (rok 1810) bywają porządne, koszyków czyli dorożek jest przeszło 300 a w zimie do 500 sanek po różnych stronach miasta“...

Wszyscy zaś pisarze z owej epoki użalają się jednogłośnie na niski poziom moralny dorożkarzy warszawskich. Pułk. Antoni Białkowski („Pamiętniki starego żołnierza 1806 — 1814“ str. 199 — 201) obrzuca tych procederyzistów ciężkimi zarzutami. Zapewnia, iż w porze nocnej, bywali w zмовie z rzeźmieszkami, obdzierali pasażerów, nie trzymali się taksy, słowem przedstawia ich jako zbieraninę z pod najciemniejszej gwiazdy. Poczty nocne chwy-

tały dryndziarzy i prowadziły do aresztu na ratusz.

Czasy późniejsze mniej malowniczy dają nam materiał opisowy. W miarę rozwoju kultury społeczeństwa stolicy i dorożkarze stawali się bardziej obywatelskimi. Dorożki bywały rozmaitych odcieni. Byli „parokonnymi“ wielkopańscy, eleganci dostępni dla wybranych, wytrawni kawalerscy, poważni, wynajmowani na codzienne objazdy pacjentów przez lekarzy, nie utrzymujących własnych powozów. Bywali dorożkarzami i żydzi, obsługujący przeważnie swoich współwierców, jednokonnymi wykwinisiami „na gumach“, dorożkarze z taksometrami, „sałaciarze“ którzy na sukienne pokrycie powozów ładowali towary, obdartusy nocni, bywali i tacy, którzy się wdawali z bandytami...

Rozmaitość charakterów i typów jednym słowem była wielka. W latach 1870—1910 liczba dorożek w Warszawie dosięgała trzech tysięcy. Od czasu wybuchu wojny, dorożkarstwo warszawskie zaczęło słabnąć, podupadać i coraz bardziej tracić zarobki wobec mnożenia się samochodów.

Znawcy stosunków twierdzą, iż zanik popularności dorożkarstwa, równa się jego upadkowi. Za lat parę, „dryndy“, jak wszelkie pomysły przeżyte wobec nowych wynalazków i zastosowań, w Warszawie, należeć będą do przeszłości.

To samo dzieje się i w innych stolicach świata.

Franciszek Reinstein.



Miss Lita Grey, młodziutka żona znakomitego artysty kinematograficznego, Charlie Chaplina, przyszła gwiazda filmu

ZAGADKI DUSZY PISARZA

Dziwne są nieraz losy człowieka. A gdy tym człowiekiem jest pisarz i to miary niezwyklej, ogarnia zamyślenie nad kaprysami życia. Jeden z najwybitniejszych pisarzy duńskich Herman Bang, przechodził okropne koleje losu.

Duch jego, wzbijający się na najwyższe szczyty przez potęgę geniuszu zamieszkiwał w powłoce cielesnej narażanej na ciągle pokusy szatana. Zmuszony był wreszcie opuścić kraj i emigrować do Kalifornji, gdzie popadł w okropną nędzę i umarł nieznanym w szpitalu publicznym. Był to cudowny talent, jak o nim powiada również wybitny pisarz duński, Sophus Michaelis. Ten cudowny talent, który tworzył rzeczy piękne, miał tak marne życie, że wzdychał do śmierci.

Albo biedny, nieszczęśliwy Edgar Allan Poe, uginający się pod ciężarem alkoholizmu, który zrujnował ostatecznie i ciało i duszę tego pisarza genialnego. Lub Maupassant, który pisze nowele i powieści pełne życia, werwy i dowcipu, lecz sam coraz bardziej jest zrozpaczony, bo czuje, że wróg niewidzialny zbliża się do niego nieubłaganie i czyha na jego zdrowie i życie. W jednej z nowel („Lui“) pisze: „Boję się samego siebie. Lękam się lęku, lęku przed fantastycznymi wytworami swego ducha, który mógłby począć się mroczyć. Lękam się okropnego uczucia strachu niewytłumaczalnego i bezpodstawnego. Boję się myszy, mebli, przedmiotów dobrze mi znanych, które w mej wyobraźni nabierają jakiegoś życia zwierzęcego. Lecz przedewszystkiem boję się strasznego zamęcenia swego ducha, swego rozumu, nad którym zaczynam tracić władzę i który zaciemnia się pod wpływem tajemniczego, niewidzialnego strachu...“

Nieszczęśliwy umiera w zakładzie obłąkanych pod Paryżem. A ileż chwil rozkoszy dał swym czytelnikom wielki ten pisarz, autor *Panny Fifi*, *Miłości*, *Życia*, *Bel-Ami*ego i tylu innych pięknych utworów, pisanych właśnie wtedy, kiedy już czuł, że wchodzi „w ciemną otchłań“.

A oto leży przedemną szereg utworów Jacka Londona, którego firma E. Wende i S-ka popularyzuje w swej „Bibliotece groszowej“ (à 95gr. tom; bardzo na czasie i pożyteczne wydawnictwo).

Kto czytał *Na Szlaku*, *Zew Krwi*, *Wygę* (Kurza), *Odyseję Północy*, przypomina sobie, jakim tchną życiem utwory Londona. Ile z tych kart bije zdobywczej, nawet brutalnej energii. Jaka, niezwykła wprost, bezpośredniość uderza przedewszystkiem w twórczości tego Kanadyjczyka. Z jego książek bije moc, energia, tężyzna, zdrowie, radość życia.

Uderzono cię, upadłeś? Musisz powstać i uderzyć dwa razy, uderzyć trzy razy.

Kobieta cię nie kocha? Zmusz ją, żeby cię kochała. Jeszcze lepiej gwizdnij na to i wez drugą. Nie masz co jeść? Dobrze. Zdobądź złoto, będziesz miał o wiele więcej niż na obiad. Opuścił cię przyjaciel? Spraw sobie psa. — Oto jest filozofja życiowa Londona.

Owa tężyzna, może nawet brutalność, będąca głównym pierwiastkiem w twórczości Londona, była rozstrzygającym czynnikiem w jego powodzeniu lite-

rackiem. Czytająca publiczność, zblazowana mdłymi erotykami, potrzebowała takiego tuszu.

Tyle życia budził wokoło. Sam był wciąż pełen kipiącej, niezmordowanej energii niby krater niewygasłego wulkanu.

Ale czy pamiętacie *Martin Edena*? Tę książkę, w którą London włożył tyle elementu autobiograficznego?

Eden płynie okrętem. Znajduje się pod zwrotnikami. Jest zmęczony.

„Kiedy życie staje się bolesną męką, śmierć gotowa jest ukołysać je na wieczny sen. Czemuż czeka? Pora iść. Wstał i wysunął głowę przez łuk, spoglądając w pienistą toń. Mariposa zanurzona była głęboko. Jeśli zawisnąć na rękach, nogi dotkną wody... Pomyślał jeszcze przez mgnienie oka, czy warto napisać pieśń łabędzią? Natychmiast ze śmiechem cdegnął tę myśl. Niemiał czasu. Zbyt pilno było mu odejść. Zgasiwszy w kajucie światło, żeby go niezdradziło, wysunął się przez łuk nogami naprzód... kiedy nogi dotknęły wody — rozwarł dłonie. Był cały w pianistym nurcie... Potem rozluźnił mięśnie i pogrążył się w morze nieruchomo, jak biały słup...“

W 1916 roku Jack London wsiadł w Hawaj na okręt a w nocy wyskoczył z kajuty w morze. Utonął. Zostawił po sobie rękopis, pełen kipiącej energii życia, ze zwykłym mu talentem napisany.

Dziwnymi drogi los prowadzi człowieka.

A dziwniejszą jeszcze, bardziej tajemniczą jest dusza ludzka.

Lektor.



Nowy plan inżynierji amerykańskiej oświetlenia w nocy szlaków linji okrętowych przy pomocy elektryczności



„Liga równouprawnienia kobiet“ demonstrująca o prawa wytorcze dla kobiet na ulicach Paryża

DZIKIE ZWIERZĘTA w FILMIE

(Feljeton literacki)

„Dzikie zwierzęta w filmie” — wspomnienia reżysera filmowego J. Delmonta — należą do najciekawszych książek, jakie się w ostatnich czasach ukazały.

Autor, znany podróżnik i wykonawca zwierzęcych zdjęć kinematograficznych, opowiada nam dzieje swojej długotrwałej pracy na tem polu, mówi o walkach z dzikim zwierzem w puszczy dziewczęcej, o krwawych tragedjach śmiałych aktorów, którzy życiem nieraz przypłacali swoją odwagę.

Najciekawszym momentem wspomnień jest stosunek scenarjusza do wykonania. Najczęściej największe powodzenie wśród widzów mają sceny nieprzewidziane. Wogóle okoliczności nieprzewidziane przemożną grają rolę w filmowych zdjęciach dzikich zwierząt. Nieraz spotykamy w tych wspomnieniach sceny pełne szczerzego humoru.

Jeden z filmów, którego akcja toczy się w środkowej Afryce, posiadał następujący fragment „zwierzęcy” w scenariuszu: bohaterka porwana do dżungli, zostaje zamknięta w trzcinowej chatce. Pod próg chaty podkopyje się hjena. Napada na nią tapir, z którym hjena stacza zacieklą walkę. Nie pomogły uwagi Delmonta, że w Afryce niema tapirów. Dyrektor zadecydował, iż zwierz mógł przepłynąć przez ocean, a zresztą publiczność jest dostatecznie głupia, by nie zauważyć błędu.

Pod progiem chaty zakopano nieświeże mięso. Wypuszczona z klatki hjena poczęła się do niego dokopywać. Mięso okryte było kratą, by go zwierz nie mógł pożreć. Puszczono tapira, który niezwłocznie zaatakował hjenę. Zbliżył się operator, by zrobić większe zdjęcie, potknął się o korzeń i runął pomiędzy walczące zwierzęta razem z aparatem. Hjena odgryzła mu w ferworze pół ucha. Nadbiegł tymczasem drugi operator. Nagle rozległo się szczekanie psów. Nim zdołaliśmy zorientować się w sytuacji na pole walki wypadło dziewięć chartów i wmieszało się nieoczekiwanie do akcji dramatu. Hjena, korzystając z zamieszania, umknęła kopać w dalszym ciągu dokoła leżące pod progiem padliny. Psy kotłowały się z tapirem. Nadbiegł ich treser z biczem. Przebiegając koło chatki wpadł w wykopany przez hjenę dół. Zwierz chwycił go zębami za pośladek. Powstał nieopisany zamęt. Psy, treser, hjena, tapir — wszystko utworzyło żywy, przewalający się po ziemi kłęb. Z wielkim trudem udało się wpędzić do klatki tapira wyciągnąć z pod psów tresera, hjena umknęła.

Zdjęto sceny „ludzkie” poczem aktorzy udali się na odpoczynek i śniadanie ku czekającemu niedaleko samochodowi. Treser klnąc oddalił się z psami. W samochodzie ujrzeliśmy rozkoszny widok: siedziała tam hjena, warcząc i szczerząc zęby. Zwierz pożarł wszystkie nasze zapasy żywności: pieczone kurczęta, cielejące kotlety i rozbeł — nie wyłączając nawet kości. Widząc nas blisko uciekł jednym susem i zginął w krzakach.

Gdyśmy wrócili do hotelu — mówi Delmont — zostałem aresztowany przez policję zato, że dzikie

zwierzęta puszczam na wolność. Stała się bowiem rzecz straszna. Hjena, umknawszy z samochodu, natknęła się w lesie na psy, które rozpoczęły piekielną gonitwę. Hjena, dobiegła do hotelu, wpadła na schody, dotarła do sali jadalnej, pełnej gości w czasie obiadu. Psy wpadły za nią. Poprzez nakryte stoły, krzesła, gości i kelnerów rozpoczęły się dzikie łowy. Talerze, półmiski, szklanki, butelki, karafki, noże, widelce, łyżki i filiżanki brzęczały, rozlatywały się, pękały. Mężczyźni uciekali, kobiety krzyczały i mdlały. Pormonetki ginęły. Jakiś mąż, który chciał ocucić żonę, dobywając „sole” z jej torebki, znalazł list miłosny wielbiciela. Jakiś porywczy młodzieniec rozstrzelał pewnej damie jej boa, biorąc je za hjenę.

Szcęściem dla mnie zostałem zaaresztowany: w przeciwnym razie byłbym niewątpliwie zlinczowany.

Szkody wynosiły 2.801.50 dollarów. Zapobiegliwy hotelarz doliczył wszystko, co zostało stłuczone w ciągu ostatnich 5 sezonów. Prócz tego napłynęły liczne reklamacje gości hotelowych. Między innymi pewna wdowa dopomniała się o 5.000 dol. odszkodowania, ponieważ w popłochu wypadła jej sztuczna szczeka, z powodu czego zerwał z nią jej narzeczony, bogaty fermer.

Hjena znikła bez śladu. Potworzyły się kółka łowieckie celem zorganizowania na nią łowów, lecz bezskutecznie. Po dwóch dniach znaleziono ją w chłodni hotelowej zamrożoną na wołowym ǫdźcu. Dostała się tam, przez otwór ścienny. Śmierć miała słodką — pożarła połowę udca.

Towarzystwo Kinematograficzne wkoście zbanrutowało. Film miał jednak olbrzymie powodzenie.

Juljon Ejsmond



Markiz Curzon of Kedleston, wybitny mąż stanu angielski, zmarł w ostatnich dniach marca

NASZE BOLĄCZKI

Wiele już u nas pisano i mówiono o potrzebie odciążenia młodzieży szkolnej z nadmiaru lekcji, wydawano nawet w tym celu specjalne okólniki, wyznaczano dni bezlekcyjne, lecz, jak dotychczas, wszystko to pozostało na papierze, i młodzież wciąż jednakowo przeciążona jest pracą.

Weźmy tylko normalną ilość godzin, jaką uczeń lub uczenica poświęcić musi nauce. Lekcje w szkołach trwają zazwyczaj od 8 rano do 2 popołudniu, a zatem 6 godzin, przygotowanie tychże w domu przeważnie zabiera 4 godziny, co razem wynosi 10 godzin, o ile nie pobierają przytem lekcji przedmiotów dodatkowych...

Dziesięć godzin nauki, 10 godzin ciężkiej pracy, wymagającej napięcia uwagi, wytężenia umysłu... I to dla dziecka nierozwiniętego jeszcze fizycznie, o umyśle wrażliwym, pobudliwym... Prawodawstwo wyraźnie określiło czas pracy dla dorosłych na 8 godzin dziennie; — urzędnicy w biurach pracują 7 godzin, gdyż ogólnie uznano, że dłuższa praca wpływa ujemnie na ustrój fizyczny i umysłowy... A dziecko musi pracować 10 godzin dziennie, musi przez te właśnie 10 godzin mieć umysł wiecznie skupiony, forsować pamięć, ażeby w niej zachować tą masę przedmiotów, jakie stara się w nią wtłoczyć nasze szkolnictwo, przedmiotów, notabene, niejednokrotnie zbędnych, o których po ukończeniu szkoły natychmiast zapomni i z których w życiu żadnych realnych korzyści mieć nie będzie...

Bo czyż np. nie jest absurdem zadawanie dzieciom z kl. IV rozważań o właściwościach psychicznych bohaterów powieści Sienkiewicza?... Albo też przechodzenie z VII lub VIII klasą matematyki w zakresie I roku wykładów uniwersyteckich?...

Nic dziwnego też, że młodzież, po ukończeniu szkoły średniej, zniechęca się do nauki, tępieje, z nienawiścią wprost myśląc o niej.

Pedagogja nasza, mimo wielu wydanych rozpraw, mimo mnóstwa wydrukowanych podręczników, z bólem przyznać musimy, stoi obecnie na nader niskim poziomie, o wiele niższym od zagranicy.

Nauczyciele nasi nie mogą wyzbyć się dawnego nałogu zadawania przedmiotów i wypracowań do domu, nie licząc się zupełnie z siłami fizycznymi i umysłowymi dzieci...

Ogarnięci, szlachetną być może, ambicją wtłoczenia w mózgi uczniów jaknajwiększej masy wiadomości, dalecy są od zrozumienia ich potrzeb życiowych...

Na tem polu konieczną jest reforma, reforma radykalna, gdyż zaczynająca się od programów szkolnych a kończąca na rewizji stosunku nauczycieli do uczniów...

Wzory do reformy winny być wzięte z zachodu, gdzie już oddawna o uprawianym u nas systemie zapomniano. Nauczycielstwo polskie winno iść z życiem, a nie trzymać się dawnych wzorów. Szkoła średnia winna dać tylko ogólne pojęcie o przedmiotach wykładanych, a przede wszystkim odrzucić wszelki balast, który winien być raczej przedmiotem studjów uniwersyteckich.

Reforma ta napewno wyjdzie na korzyść naszej młodzieży zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym...

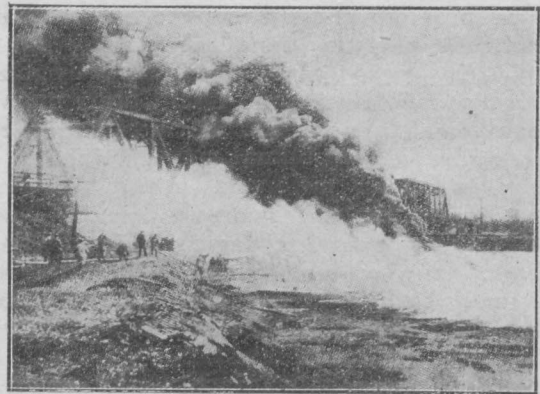
Bo przecież i względem młodzieży należałoby zastosować prawo o obowiązującym czasie pracy...

* * *

Urzędownie rozpoczęto walkę z coraz bardziej panoszącą się u nas demoralizację... Walkę tą posunięto aż do konfiskaty pism francuzkich, poświęconych kultowi nagości... Szkoda tylko wielka, że przepisów tych i całej surowości prawa nie przeszczepiono na grunt niektórych teatrzyków, które opierają swe powodzenie nie na sztuce, a na ukazywaniu całych korowodów nagich kobiet... Teatrzyki te, igrając na najniższych instynktach ludzkich, na tem właśnie opierając swą egzystencję, nie mają nic ze sztuką wspólnego, i dziwnem wielce się wydaje, że niektóre z pism, z oburzeniem zwalczające niemoralność, o sztuczkach, wystawianych przez te teatrzyki, piszą z pochwałami.

Rozzuchwalone powodzeniem, teatrzyki te w pokazywaniu obnażonych wdzięków kobiecych posuwają się coraz dalej, zamieniając się w przybytki nic ze sztuką nie mające wspólnego...

W sprawie tej społeczeństwo głos zabrać winno, i przez bojkotowanie podobnych zakładów, dać wyraz swemu oburzeniu i protestowi.



Olbrymi wybuch składów nafty pod Filadelfją w Stan. Zjedn. Ameryki. Spłonęło 20,000 galonów nafty oraz zginęło wie'u ludzi



Walny zjazd delegatów Stowarzyszeń Urzędników Państwowych w Warszawie w dn. 29 marca 1925 r. od lewej ku prawej. (Prezydjum) Dr. J. Drażek (M. S. Wewnętrzzn.), Inż. Bieliński sekretarz Zjazdu (M. S. Wojsk.), Z. Szczawiński, dyr. Prezes Zarządu Głównego, Dr. S. Wasiński, przewodniczący Zjazdu (Min. Spraw.), Z. Duda sekretarz generalny, St. Sasorski (Głów. Urząd Likwid.)

Z TYGODNIA

Szaleńczy i zbrodniczy czyn przodownika Muraszki, zabójcy Bagińskiego i Wieczorkiewicza, dał protest sowietom do rozpoczęcia wściekłych ataków przeciw Polsce. Zwyradniali degeneraci, notoryczni mordercy, zbroczeni krwią tysięcy ofiar, wśród których Polacy znaczny stanowią odsetek, podnoszą teraz piekielny wrzask z racji zabicia przez Muraszkę dwóch zdrajców, pozostających na ich żołdzie.

Czyn Muraszki potępiony został jednomyślnie przez całe społeczeństwo polskie i nie ma kwestji, że spotka go za niego zasłużona a surowa kara. Jednak alarm wszczęty przez Sowiety, notabene w sposób bezprawny, gdyż obydwaj zbrodniarze przed wydaniem ich Sowietom byli jeszcze, niestety, obywatelami polskimi, dowodzi czego innego... Mianowicie, straszny los Bagińskiego i Wieczorkiewicza przejął przewodników moskiewskich troską o licznie grasujących na ziemiach polskich, a pozostających na ich żołdzie zbrodniarzy, dla których, w razie ujęcia, droga wymiany może być zamknięta, a powtórnie niemożność otrzymania bezpośrednio z ust zdrajców wielu tajemnic i informacji, które oni zabrali ze sobą do grobu.

Współczuć tylko należy niedoli tych wszystkich Polaków, którzy na ziemi sowieckiej przebywają, a nad którymi w nikczemny sposób mścić się czerwoni zbrodniarze będą.

Wybory prezydenta w Rzeszy Niemieckiej nie dały wyniku. Głosy rozbiły się na wielu kandydatów, tak że będą musiały odbyć się ponownie w końcu kwietnia. Zarysowały się dwie najpoważniejsze kandydatury: prawicy, t. j. nacjonalistów i monarchistów dr. Karola Jarresa, i lewicy i centrum, dr. Wilhelma Marxa.

W czasie ćwiczeń reichswehry zawalił się most pionierski, zbudowany na Wezerze w pobliżu Detmoldu, przyczem większe oddziały wojska w pełnym rynsztunku runęły do wody. Utonęło około 100 żołnierzy.

W Jerozolimie odbyło się uroczyste otwarcie uniwersytetu hebrajskiego, w obecności lorda Balfoura, generała gubernatora Egiptu, lorda Allenby, oraz licznych przedstawicieli instytucji naukowych europejskich i amerykańskich. Porządku w czasie uroczystości strzegły liczne oddziały wojskowe angielskie, gdyż ludność miejscowa, arabi, mahometanie i chrześcijanie, wrogo występująca przeciwko napływającym do Palestyny żydom, zapowiadała szereg demonstracji.

W rządzie francuzkim zaszła zmiana. Ustąpił dotychczasowy minister skarbu Clemental, którego stanowisko zajął senator de Monzi.

W Morawskiej Ostrawie, w Czechach, skutkiem agitacji komunistycznej przyszło do starcia między górnymi a żandarmami, przyczem zginęło 2 robotników, a kilku zostało rannych.

Wśród robotników rolnych w Polsce wybuchł strejk, obejmujący b. Kongresówkę i Pomorze. Strejk ma przebieg spokojny i w krótkim czasie zapewne zostanie zlikwidowany.

Sejm uchwalił pobór rekruta, przyczem poseł z P. P. S., Lieberman, wygłosił patriotyczne przemówienie, gorąco oklaskiwane przez wszystkie stronnictwa.

Na skutek zarządzenia ministra wojny zarządzono losowanie, z którego pobojowiska mają być wzięte celem uczczenia zwłoki nieznanego żołnierza. Los padł na pobojowisko lwowskie.

*Gdy spojrzysz w głupstwa bezdenne czeluści
Niezlomna wola nieraz cię opuści;
Bo chociaż wniosłeś światło w głąb ciemnicy
Przez grube mroki nie dojrzeć tej świecy.*

Lucjan Siemieński.



Dr. Wilhelm Marx, kandydat centrum i republikanów na prezydenta Niemiec



Dr. Karol Jarres, kandydat nacjonalistów na prezydenta Niemiec

KOBIE TY CZARNEGO LĄDU

3)

(Z ANGIELSKIEGO)

Po odejściu mężczyzn matka dziewczyny przynosi mały dzban piwa dla kobiet, poczem zwraca świekrze córki przyniesione przez nią dzbany, do których włożyła trochę trawy. Matka pana młodego i jej przyjaciółki powracają do domów, a matka panny dzieli jeden pęk bananów pomiędzy zaproszone przez siebie kobiety, drugi zaś zatrzymuje sobie. Ojciec tymczasem w towarzystwie jednego z przyjaciół ogląda kozy, ofiarowane za córkę. Na tem się kończy uroczystość weselna.

Pan młody przybywa wkrótce do domu narzeczonej i oznajmia, że przygotowuje dla niej pole. Zwołuje swych przyjaciół i po wybraniu kawałka ziemi przygotowuje go do uprawy. Dziewczyna uprawia tę ziemię z pomocą dwóch przyjaciółek, a kiedy tę pracę ukończy, młodzieniec w towarzystwie dwóch druhów przychodzi zapytać ojca, czy może żonę zabrać.

Po uzyskaniu zgody i zapiciu jej piwem trzej młodzieńcy muszą zbudować chatę dla panny młodej. Obyczaj każe družbom porwać pannę młodą, która krzyczy wtedy jak może najgłośniej. Pan młody nie dotrzymuje jej towarzystwa w nowej chacie, lecz pozostaje w domu ojca, a przyjaciółki dziewczyny zanoszą jej pożywienie. Po upływie czterech dni teściowa przychodzi posmarować jej głowę tłuszczem, poczem panna młoda wraca do domu matki, gdzie spędza trzy godziny, płacząc i krzycząc. Towarzyski znów ją odprowadzają do chaty męża, któremu wreszcie wolno z nią zamieszkać. Potem mąż daje jeszcze jedną kozę teściowi i ten dar oznacza zakończenie ceremonjału ślubnego. Ojciec panny młodej składa jej w darze naszyjnik żelazny — ozdobę noszoną przez kobiety zamężne. Obowiązkiem matki jest ofiarowanie kamieni do ogniska domowego. Zwykle wybiera je razem z córką na brzegu rzeki.

Im więcej mężczyzna ma żon, tem mniej pracy przypada w udziale najstarszej małżonce. Właściwie rola jej sprowadza się do ogólnego nadzoru nad całym haremem. Nigdy nie traci ona swego stanowiska a dziecko jej uważane jest zawsze za najstarszego spadkobiercę, choćby się urodziło później niż dzieci innych żon. Pierwsza żona jest zwykle rówieśniczką męża, następne są znacznie młodsze. Posiadanie jednej tylko żony jest oznaką wielkiego ubóstwa. Przeciętna ilość żon waha się u różnych plemion od 3 do 10-ciu. Wielcy naczelnicy mają nieraz po 50 i po 100 żon w różnych okręgach, czuwających tam nad ich ziemią i stadami. Może fakt posiadania przez każdą żonę oddzielnego pola, które sama uprawia, oraz własnego domu i spichrza wpływa na brak zazdrości w ich stosunkach wzajemnych. Spotykałem zawsze życiwe stosunki wśród żon jednego.

To co nazywamy wiarołomstwem niezawsze jest uważane za zbrodnię przez plemiona afrykańskie, niektóre z nich bowiem uznają nietylko poligamię lecz i poliandrię. N.p. murzyn Masai pozostawia w towarzystwie żony gościa, należącego

do jego klanu, sam zaś kładzie się spać gdzieindziej. Masai uważa za swój obowiązek tego rodzaju gościnność i obawiałby się kłatwy rówieśników w razie niezastosowania się do tego obyczaju — z tem zastrzeżeniem, że obowiązuje on tylko względem rówieśnika lub członka tego samego klanu.

Panuje ogólne przekonanie, że mężczyzna pełniący cudzołóstwo z kobietą wieku jego ojca ściąga straszliwą kłatwę na swoją głowę. Może natomiast bez obawy kary lub nagany żyć z kobietą swego wieku. Jeżeli człowiek starszy utrzymuje stosunek z kobietą, która jest rówieśnicą jego córki, uważany jest za zbrodniarza. Może się narazić na bardzo surową karę, wymierzoną przez starszych członków plemienia; zdarzają się wypadki silnego pobicia winnego, zburzenia jego „kral'u" lub wybicia stada.

Łatwo odróżnić na pierwszy rzut oka kobietę zamężną od niezamężnej. Mężatki plemienia Kikuyu gołą głowę, pozostawiając z tyłu niewielką kępkę włosów. Starsze kobiety gołą nawet i tę resztę włosów, tak, że głowa pozostaje zupełnie łysa. Mężatki noszą żelazne naszyjniki i miedziane spiralne kolczyki. Podobnie jak mężczyźni nakładają one bransolety na ręce i na nogi i z wielkim zapałem zdobią uszy w liczne sznury paciorków.



Kobiety plemienia Nandi wynagradzają brak kunsztownych fryzur, strojąc ręce i nogi w obręcze z grubego drutu a uszy w długi spiralne kolczyki, zwieszające się na rzemykach aż do ramion. Kobiety zamężną poznaje się po tych kolczykach

Kobiety zamężne noszą oprócz skórzanego fartuszka jeszcze i krótką spódniczkę.

Kobiety plemienia Masai obwieszają się żelaznymi łańcuchami i kolczykami. Dopóki mąż żyje, niewolno żonie zdjąć kolczyków. Zamężne kobiety Nandi noszą duże bransolety i obręcze druciane; kolczyki ich są to duże koła z drutu — czasem górną część tych klejnotów zrobio a jest z paciorków. Ubiór ich stanowią ozdobne skóry. Wdowa plemienia Nandi zdejmuje z siebie ozdoby i przez cały rok jest w żałobie po mężu — kolczyków mężatki niewolno jej już nigdy nosić. Przez cały okres żałoby niewolno wojownikowi wejść do jej chaty. Powtórne zamążpójście nie jest dozwolone.

Obowiązki kobiet murzyńskich są bardzo rozmaite. Za wyjątkiem niewielu plemion mężczyźni nie zniżają się do pracy ręcznej.

Kobiety uprawiają pola, gotują pożywienie, noszą drzewo, przygotowują tytoń i piwo, niańczą dzieci, sporządzają odzież — słowem wykonują całą pracę domową. Dopomagają również przy budowie chat. Prawda, że nie ciąży nad nimi zhora zwana „wiosennymi porządkami“ albo „wielkim praniem“ i nie wyprawiają co rano w pośpiechu dzieci do szkoły. Nie mają łóżek do zaświecania ani pończoch do cerowania a pożywienie gotują tył o raz na dzień. Na ogół położenie kobiety zamężnej nie jest złe z punktu widzenia afrykańskiego. Nigdy nie słyszałem mężatki, uskarżającej się na swój los i nie spotkałem dziewczyny murzyńskiej, któraby nie pragnęła zostać żoną i matką.

Plemiona murzyńskie zachowują cały szereg obrzędów związanych z przyjściem na świat dziecka. Na kilka dni przed rozwiązaniem, kobieta Kikuyu żywi się tylko mąką i mlekiem, unikając pokarmów mięsnych i jarzyn. Urodzenie dziecka rzadko bywa niebezpiecznym przejściem. Tryb życia kobiet murzyńskich — ciągle przebywanie na świeżem powietrzu, dużo ruchu i pracy fizycznej hartuje i przyzwyczajają je do trudów. Opowiadano mi o kobietach, które przerywały na krótko pracę w polu dla urodzenia dziecka. Spotkałem raz kobietę z plemienia Kikuyu, która w trzy dni po urodzeniu zdrowej dziewczynki przebyła pieszo około 80 mil angielskich, dźwigając córkę na plecach. Ojciec ogląda nowonarodzone dziecko dopiero po kilku dniach. Niewolno nikomu — oprócz najbliższych przyjaciółek — wejść do chaty matki przez cztery dni po przyjściu na świat dziewczynki, a przez pięć jeżeli urodził się chłopiec. Matka jednak może z chaty wychodzić. Po tym terminie matka musi przejść ceremonję oczyszczenia, przyczem gołą jej głowę. Pierwsze jej pójście w odwiedziny do przyjaciół jest wielką uroczystością.

Dziwny to objaw że ludzie, którzy tak cenią dzieci, mogą nietylko pozwalać na ich zabijanie, lecz nawet uznają to za konieczność w pewnych warunkach. Przybycie bliźniąt, naprzykład, uważa się za nieszczęście. Jeżeli rodzice poprzednio nie mieli dzieci, zabija się bądź oboje, bądź bliźniaka urodzonego później.

Istnieje zabobon, że jeżeli tego się nie uczyni, matka już nigdy nie będzie miała dzieci. Jeżeli rodzice mają już starsze dziecko, przyjście na świat

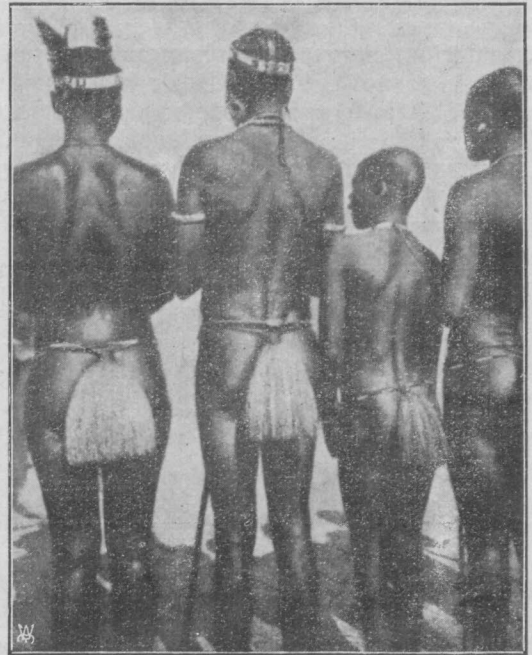
bliźniaków nie ma znaczenia ujemnego. Trojaczki uważa się za zapowiedź jeszcze większego nieszczęścia i zwykle zabija się wszystkie bez względu na porządek ich urodzenia. Jeżeli dziecku wyrośnie pierwszy ząbek u góry, uważa się to za zły znak, w tym wypadku jednak ojciec może złożyć ofiarę i nie zabijać dziecka.

Najczęstszym sposobem usunięcia dziecka jest uduszenie, — czasem robi to matka, czasem wynoszą dziecko na pole, leżące odłogiem i tam zatykają mu nos i usta trawą.

Kiedy najstarsze z dzieci zostaje przyjęte w poczet członków plemienia, matka goli głowę całkowicie i otrzymuje zaszczytne miano „starej kobiety“; wolno jej wtedy nosić miedziane kolczyki — oznakę tego dostojstwa. Kobiety nie biorą wprawdzie udziału w obradach starszyny plemienia, mają jednak pewne ściśle określone obowiązki i prawa. U niektórych plemion kobiety zajmują się leczeniem chorych (np. w plemieniu Kisi). Słyszałem o komitecie, złożonym z pięciu starców i pięciu starych kobiet plemienia Kikuyu, zwołanym dla zdecydowania jakiejś ważnej zawilej sprawy. Mówiono mi, że w razie rozbieżności zdań, decydującym byłoby zdanie kobiet.

Macierzyństwo otoczone jest ogólnem poszanowaniem. Młody wojownik zawsze ustąpi z drogi starej kobiecie. Stare kobiety biorą czynny udział w każdej uroczystości plemienia, mają swoje wyznaczone czynności i strzegą gorliwie swych praw w tej dziedzinie.

Zdumiewająca jest siła i odporność tych kobiet. Np. murzynki Kikuyu dźwigają pakunki zawieszane na szerokim skórzanym pasie, umieszczonym na czole. Otóż widywałem kobiety 50 letnie, które przebywały przestrzeń około 50 mil angielskich



Ogony stanowią godną uwagi ozdobę kobiet i dziewcząt plemienia Kavirondo.

skich, dźwigając w ten sposób znaczne ciężary. Wielu cudzoziemców, podróżujących po Afryce, woli kobiety jako tragarzy, są bowiem tańsze od mężczyzn, wierniejsze i łatwiejsze do utrzymania w ryzach. Trudno wprowadzić białym przyzwyczaić się do takiego traktowania kobiet. Jednakże praca ta jest udziałem kobiety afrykańskiej dopóki wiek nie zapewni jej spokojnego i zaszczytnego stanowiska.

W razie śmierci głowy rodziny majątek z żonami włącznie przechodzi na własność najstarszego syna, który zarządza wszystkim w imieniu rodziny. Zwykle każda z wdów zatrzymuje swój kawałek ziemi uprawnej i pracuje w dalszym ciągu dla siebie i swoich dzieci. Córki jej pomagają, dopóki nie wyjdą za mąż. Kiedy synowie się pożenią, matka oddaje część ziemi synowym.

Istnieje zwyczaj rzucania ciał zmarłych hjenom na pożarcie. Okropny ten zwyczaj ma swe uzasadnienie w szybkości i dokładności, z jaką te zwierzęta spełniają swoje zadanie. Nikt dobrowolnie nie dotknie ciała zmarłego a kobieta w tym wypadku tylko bierze udział w przygotowaniach do obrzędów pogrzebowych, jeżeli zmarły był jej dzieckiem.

Pogrzeby wyprawia się przeważnie tylko bardzo starym i bogatym mężczyznom, ale stara kobieta zawsze dostąpi tego zaszczytu, do którego urawnia ją wiek i macierzyństwo.

Mężczyznę chowają z głową opartą na prawej dłoni zwróconą ku zachodowi, istnieje bowiem przesąd, że obrócenie głowy na wschód sprowadzi śmierć dzieciom zmarłego.

Nietylko w ciągu swego długiego życia, lecz i w chwili śmierci staruszka otoczona jest wyjątkowymi względami plemienia. Bezzębna, zgięta we dwoje i tak pomarszczona, że twarz jej bardziej j szcze niż w młodości przypomina twarz małpia — traktowana jest z nadzwyczajnym szacunkiem i czcią jako matka rodu.



P. Aleksander Wygard, dyrektor techniczny Aero-Lloydu

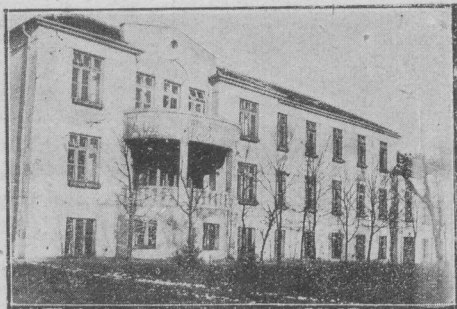


Wnętrze cukierni A. Blikle, Nowy-Świat 35

Sanatorium „MARTÓW“

Dra J. Krukowskiego i S-ki w Otwocku

Sanatorium liczy 15 lat istnienia, na obszarze 8 mórg lasu sosnowego. W sanatorium znajdują się urządzenia elektro-terapeutyczne i wodolecznicze. Kierownikiem zakładu jest Dr. Jerzy Muszkatlenblit. W zakładzie stale 2-ch lekarzy miejscowych. Stałymi kon-



sultantami są D-rzy Henryk Higier, Gustaw Krukowski i Adam Wizel. Do zakładu przyjmowani są chorzy wewnętrzni, nerwowy i rekonwalescenci. Zakład przyjmuje ludzi wyczerpanych, którzy wymagają wypoczynku. Przy zakładzie cała moc rozrywek, między innymi i radio.



S. Dobraczyński, właściciel najstarszej apteki w Otwocku, pod firmą S-rów F. Podolskiego, kurator magistr. tegoż miasta

Istniejąca od 1898 roku

Apteka S-rów F. Podolskiego

w Otwocku, ul. Kościelna

Posiada: środki lecznicze krajowe i zagraniczne.
Tlen. Wody sztuczne i naturalne.

Przyjmuje analizy lekarskie.

OTWOCK

Terytorjum, stanowiące obecnie miasto i uzdrowisko Otwock, czterdzieści kilka lat temu było niezabudowane, lecz pokryte tylko lasami, stanowiące część różnych majątków, a pod względem administracyjnym należało aż do 3 gmin wioskowych.

Gdy sfery lekarskie zwróciły w swoim czasie uwagę na wybitne właściwości lecznicze, Otwock począł szybko rozbudowywać się.

Pod względem kulturalnym Otwock rozwijać się nie mógł, gdyż należąc do gmin wioskowych, stojących na bardzo niskim poziomie kulturalnym, nierozumiały potrzeb Otwocka, a obywatele nie mieli żadnego wpływu za dawniejszych czasów zaborczych.

Dopiero za okupacji niemieckiej na skutek usilnych starań ówczesnego Towarzystwa Przyjaciół



Magistrat miasta Otwocka



Michał Górzyński, urodzony w roku 1886 w Warszawie, od roku 1902 poświęcał się pracy w samorządzie gminnym, 1 lutego 1917 roku został powołany na stanowisko burmistrza miasta Zakroczyń, a 1 czerwca 1920 r. przeszedł na takież stanowisko do miasta i uzdrowiska Otwocka. W pracy samorządowej jest bardzo osnajmiony z gospodarką miejską. Za cały czas wojny i po wojnie brał czynny udział w różnych instytucjach społecznych i dobroczynnych

Otwocka, udało się Otwock wydzielić z gmin wioskowych i utworzyć z uich samodzielne miasto, które swoje istnienie datuje od roku 1916.

Na skutek usilnych starań Magistratu, Otwock w roku 1924 uzyskał charakter uzdrowiska użyteczności publicznej, sprawami uzdrowiska zarządzał Magistrat, który gospodarkę miejską połączył z gospodarką uzdrowiska, tym samym usunął tarcia dwóch władz, ku pożytkowi i rozwojowi Otwocka.

Otwock, położony na wysokości 97 metrów nad poziomem morza, odległy od Warszawy 24 kilometry,

położony wśród rozległych lasów sosnowych o glebie mocno przepuszczalnej, jest jedną z lepszych miejscowości klimatyczno-leczniczych w Państwie Polskiem, nadaje się przez cały rok do leczenia klimatycznego chorób płucnych, gruźlicy, niedokrwistości, żoźów, gruźlicy chirurgicznej, skórnej i kostnej, wysięków wszelkiego rodzaju i t. p.

Otwock od chwili ukonstytuowania do roku 1920 nie posiadając własnych funduszków, nie mógł rozwijać się, dopiero powołany na stanowisko burmistrza Michał Górzyński bardzo energicznie zajął się gospodarką miejską i uzdrowiskową, wprowadził podatki miejskie, zaciągał pożyczki, które obecnie z łaćwością są spłacane i przystąpił do nabywania nieruchomości na rzecz miasta, wybudował elektrownię miejską o sile 250 H. P., wybrukował 17 ulic o powierzchni 54000 mtr. kwadr., nabył plac na park miejski przestrzeni około 16 mórg i wiele innych niezbędnych inwestycji.

Majątek miejski, dzięki racjonalnej gospodarce Magistratu, wynosił w dniu 1 stycznia 1925 r. złotych 958.617.

Budżet za rok ubiegły wykonano z pewną nadwyżką. Na rok 1925 budżet miasta wynosi zł. 962276 i klimatyczne zł. 107010, który przewiduje rozbudowę elektrowni miejskiej, sieci ulicznej na 180 lamp, urządzenie parku, budowę studzien, budowę drogi Otwock szosa Lubelska w celu połączenia Otwocka z szosą dla ruchu kołowego i samochodowego. Odległość szosy od Otwocka pomimo zabrukowania dotychczas własnym kosztem około 3 klm., pozostaje jeszcze do zabrukowania z górą 3 klm. Budowa i regulacja ulic, i wiele innych urządzeń uzdrowiskowych.

W roku 1924 frekwencja przyjezdnych na kurację stanowi 11.326 osób. Stałe zamieszkałej ludności Otwock posiada 10.877 osób.

Otwock posiada 860 nieruchomości, domów mieszkalnych 1351, przeważnie drewnianych, w tem pokoiów 4.600, kuchni 2,320.

Obszar Otwocka wynosi 1.150 hektarów.

Otwock posiada różne zakłady lecznicze i pensjonaty należycie urządzone, telefon, łatwą komunikację i t. p. urządzenia.

Pensjonat Polski Marji Łubiańskiej w Otwocku

Znakomicie urządony pensjonat polski p. Marji Łubiańskiej mieści się od szeregu już lat w Otwocku przy ul. Młandzkiej, zajmując wielką willę w obszer-



nym, gdyż 8 morgowym lesie. Urządzony z nadzwyczajnym komfortem, odznacza się wielką dbałością o gości. Pokoje przestronne, widne i ciepłe, umeblowane wytwornie, kuchnia kuracyjna 5—6 razy dziennie.

Każdy, przybywający tam na wypoczynek, otoczony zostaje nader troskliwą opieką, znajduje tak nieraz pożądaną spokój, o co wielce dba sama właści-



cielka pensjonatu. Nic dziwnego też, że zarówno zimą, jak i latem pensjonat p. Marji Łubiańskiej cieszy się liczną frekwencją gości.

UZDROWISKO DLA REKONWALESCENTÓW I OSÓB POSZUKUJĄCYCH WYPOCZYNKU

A. GUREWICZA

w Otwocku ul. Warszawska 24 (willa własna)

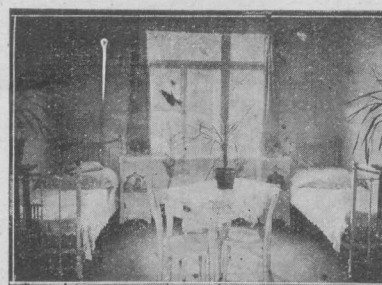
Gmach Uzdrowiska, rozłożony w 7-io morgowym parku sosnowym, sąsiadujący z wielometrową polaną o pięknym widoku, służącą dla spacerów kuracjuszy. Budynek urządony według wszelkich wymagań tech-

nie słonecznej. Cały budynek na parterze i 1-szym piętrze strony wschodnio-południowej oraz południowej, otoczony leżalniami, werandami oszklonemi, otwartymi trzema tarasami oraz duży taras słoneczny



Czytelnia

niki nowoczesnej: system korytarzowy, kanalizacja, w każdym pokoju bieżąca woda, kąpiele, oświetlenie elektryczne, wielka sala jadalna, obszerna czytelnia, bawialnia, salonik na 1-ym piętrze, olbrzymia sala koncertowa, radio. Prawie wszystkie pokoje po stro-



Pokoje, zamieszkałe przez kuracjusów

ponad lasem, połączenie telefoniczne międzymiastowe. Urządzenie Zakładu najzupełniej odpowiada najwykwintniejszym Sanatorjom i Pensjonatom Uzdrowisk Zagranicznych. Chorzy leżący nie są przyjmowani.

CUKIERNIA JÓZEFA JACKOWSKIEGO

Marszałkowska 59, róg Koszykowej

telefon 107-85

Komu ze stałych mieszkańców Warszawy, zarówno jak i przyjezdnych nie jest znaną cukiernia J. Jackowskiego na Marszałkowskiej, słynna zarówno przed wojną, jak i obecnie ze znakomitych ciastek, a zwłaszcza pączków.

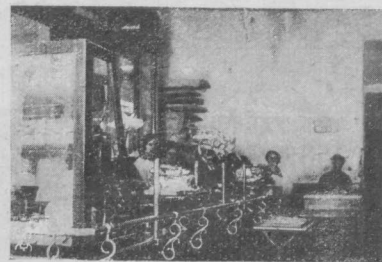
Założyciel jej, p. Józef Jackowski, doskonały fachowiec, po odbyciu praktyki w znanej firmie Lourse'a, a następnie pracy przez szereg lat u Zawistowskiego,

doskonałość wyrobów połączywszy z miłym i sympatycznym obejściem, nic dziwnego, że p. Józef Jackowski, witający pogodnym obliczem każdego z gości, w krótkim przeciągu czasu zjednał sobie nader liczny zastęp stałych bywalców i odbiorców, przybywających doń nawet z odległych dzielnic miasta. Szerokie koła wybitnej inteligencji gromadzą się tam wieczorami na pogawędkę przy kawie i ciastkach, do



p. Józef Jackowski

założył zrazu z bratem najstarszym znaną cukiernię na Nowym Świecie, następnie przez 11 lat prowadził cukiernię w Saskim ogrodzie, wreszcie w r. 1913 nabył lokal obecnej cukierni przy ul. Marszałkowskiej № 59 i dotychczas go prowadzi.



Wnętrze cukierni

czego zachęca wielce nader miły i sympatyczny lokal, sprawiający wrażenie nader dodatnie. Latem znów stałych bywalców cukierni gromadzi wielka weranda, gdzie chłodzą się znakomitymi zimnymi napojami.

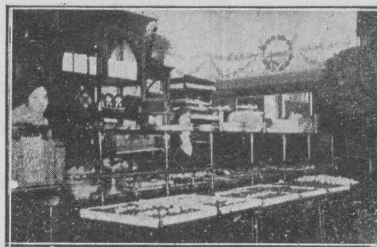
Wyroby cukiernicze p. Józefa Jackowskiego są wprost bez konkurencji i od szeregu lat mają już ustaloną sławę.

Cukiernia „CORSO”

Nowo-Senatorska 8, tel. 120-93

Właściciel **Jan Ekiert** fachowo kształcił się w firmach: Nowicki i Lourse, następnie po ukończe-

borem swoich towarów, miłym i tak taktownym obejściem oraz uprzejmością p. Ekiert zjednał sobie licz-



niu praktyki pracował w firmach: Wedel i Lardelli. Od 5-ciu lat prowadzi własną cukiernię pf. „Corso“ wł. Jan Ekiert, gdzie zwykle zbiera się elita towarzysstwa artystycznego i doborowa publiczność. Do-

nych gości. Nadmienić wypada, że prowadzi on również znaną, ze swej dobroci fabrykę czekolady przy ul. Miodowej № 6.

Restauracja „UNJA”

Spółka z og. odp.

ul. Moniuszki 12, tel. 43-87

Restauracja prowadzona jest przez 16 udziałowców. Prezesem restauracji jest p. **Edward Bazan**, z zawodu kupiec gastronomiczny, który praktykę zawodową odbywał w Niemczech, następnie pracował w hotelu „Rzymskim“ w charakterze zarządzającego.



Prezes restauracji „Unja”

Podczas wojny prowadził restaurację „Empire“ w Moskwie, po powrocie objął kierownictwo restauracji „Unja“. Restauracja robi wrażenie miłe i sympatyczne, doborowa kuchnia i doskonałe trunki. Pan Bazan miły i energiczny stara sobie zjednać swą klientele.



Front



Bufet

Cukiernia „Krakowska” Erazma Kleszcza

Marszałkowska 97a, tel. 108-69 i 182-01

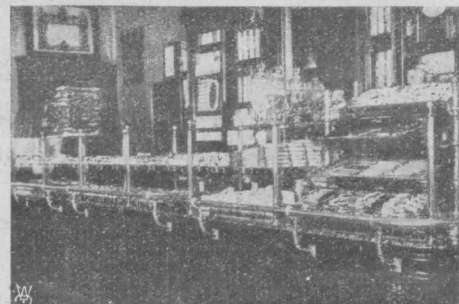
Na rogu ulic Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej mieści się dobrze znana Warszawianom cukiernia „Krakowska” Erazma Kleszcza. Wytworny lokal, znakomite ciastka własnego wypieku, pod fachowym kierunkiem samego właściciela, wysmienite napoje, a przy-

przy [ul. Niecałej] [№ 412. Czując jednak potrzebę rozszerzenia swej działalności, nabył w r. 1916 cukiernię „Krakowską” przy ul. Marszałkowskiej i prowadzając do dnia dzisiejszego.

☐ Powołany przed trzema laty na zaszczytne sta-



p. Erazm Kleszcz

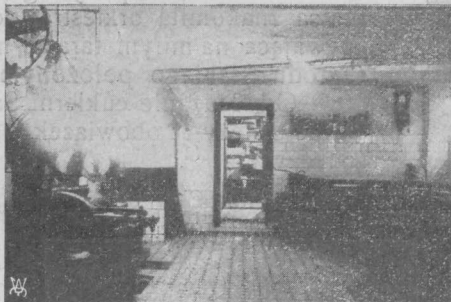


Sklep cukierni

tem wielka sala z 7 bilardami, domino i szachy, tworzą jedyny w swoim rodzaju zakład w Warszawie, nader licznie odwiedzany przez wyborową publiczność.

Właściciel cukierni, p. Erazm Kleszcz, stanowi nader rzadki u nas a dodatni typ człowieka, który li-

nowisko podstarszego zgromadzenia cukierników, z zapałem i energią oddał się pracy, organizując 3 zjazdy fachowe, zakładając hurtownię i bank spółdzielczy przemysłu cukierniczego, którego jest prezesem. Z jego też inicjatywy powstało pierwsze w kraju pismo



Pracownia



Sala cukierni

tylko wytrwałą, intensywną pracą doszedł do majątku, pamiętając przytem zawsze o swoich obowiązkach społecznych. Urodzony w r. 1879, wykształcenie fachowe pobierał w znanej firmie Lourse'a, poczem otworzył w r. 1912 własną cukiernię „Zakopiańską”

fachowe cukiernicze, p. n. „Wiadomości cukiernicze”.

Wybitny działacz na polu rozwoju cukiernictwa w Polsce ma przed sobą długie jeszcze lata pracy dla umiłowanego zawodu i społeczeństwa.

BAR AMERYKAŃSKI

ul. Senatorska Nr. 27, tel. 21-48.

Komu w Warszawie nie jest znanym jeden z naj-
pierwszych barów w Warszawie przy ul. Senatorskiej



Pan Leon Klemberg

Nr 27. Zrujnowany zupełnie przez krótki czas posia-
dania go w latach 1920-23 przez zrzeszonych, w roku
1923 przeszedł na własność długoletniego zarządzają-

cego, p. Leona Klemberga, znanego kupca, ławnika i oby-
watela ziemskiego, ur. w r. 1875, b. wychowawca szkoły
i praktyki handlowej w Rawie. Olbrzymim wysiłkiem
pracy i kapitału doprowadził on Bar Amerykański do
obecnego kwitającego stanu, a znakomitą kuchnią,
doborem przekąsek i napojów, a nadewszystko miłym
i taktownym obejściem doprowadził do obecnego
kwitającego stanu, jednając sobie liczne zastępy gości.
W pracy p. Leonowi Klembergowi dopomaga brat,
p. Bronisław Klemberg, zasłużony dowborczyk, który
po przebyciu 4 lat w szeregach armji zaborczej,
z chwilą zorganizowania armji polskiej wstąpił do jej
szeregów.

Bar Amerykański gromadzi obecnie liczne zastę-
py wykwiutnego towarzysza.

Cukiernia Zakopiańska

ul. Niecała 4, tel. 133-63

Położona w pobliżu przepięknego
salonu letniego Warszawy, Ogrodu
Saskiego, w wytornym lokalu, cu-
kiernia Zakopiańska, będąca od lat 4
własnością jednego z najstarszych i
najlepszych mistrzów sztuki cukierni-
czej, jest jednym z najmilszych zak-
ładów, licznie odwiedzanych przez
warszawian. Sam właściciel, obecnie
kierownik zakładu cukierniczego w Do-
linie Szwajcarskiej, znany jest dobrze



P. ANTONI BARYCKI
właściciel cukierni „Zakopiańskiej”

w szerokich kołach ze swej pracy za-
równo społecznej, jak i fachowej. To
też wyroby cukierni Zakopiańskiej sły-
ną daleko ze swej doskonałości.

Wieczorami pobyt gości uroz-
maica znakomita orkiestra, od wiosny
grywająca na miłym tarasie, na terenie
Ogrodu Saskiego położonym.

Odwiedzanie cukierni Saskiej u-
ważać należy za obowiązek wszystkich
warszawian.



POLSKA LINJA LOTNICZA

Lotnictwo polskie pasażerskie i towarowe zyskuje sobie coraz liczniejsze zastępy zwolenników. Dowodem tego jest stały rozwój istniejącej od r. 1922 polskiej linii lotniczej, a stwierdzeniem dane statystyczne. A więc na linii Warszawa — Gdańsk przeleciało kilometrów w r. 1922 — 46.200, w r. 1923 — 90.300, 1924 — 140.350, przewieziono pasażerów w r. 1922 — 299, 1923 — 848, 1924 — 764, przewieziono poczty w r. 1922 — 109,5 kg., 1923 — 228 kg., 1924 — 313,5 kg., przewieziono towarów 1922 r. — 7.261 kg., 1923 — 7.387 kg., 1924 — 16.008 kg. Na linii Warszawa — Lwów przeleciało w r. 1922 klm. 41.000, 1923 — 95.520, 1924 — 140.760, przewieziono pasażerów r. 1922 — 228, 1923 — 748, 1924 — 769, przewieziono poczty 1922 — 185,5 kg., 1923 — 166,5 kg., 1924 — 224,5 kg., przewieziono towarów r. 1922 — 2.149 kg., 1923 — 4.855 kg., 1924 —

9.366 kg. Na linii Warszawa — Kraków przeleciało w r. 1923 — 7.695 klm., 1924 — 85.500 klm., przewieziono pasażerów w r. 1923 — 75, 1924 — 660, przewieziono poczty w 1923 — 11,5 kg., 1924 — 118,5 kg., przewieziono towarów w r. 1923 — 245 kg., 1924 r. — 4.836.

Ten potężny swój rozwój polska linia lotnicza zawdzięcza energicznemu kierownictwu p. Aleksandra Wygarda, ur. w Przemyślu w r. 1900, a po ukończeniu gimnazjum także wychowawcą uniwersytetu w Wiedniu na wydziale ekonomii i prawa, a następnie studjującego w Niemczech ze szczególnym uwzględnieniem konstrukcji samochodowych i metalowych, oraz panna Aleksandra Kumańskiego, ur. w r. 1884, wychowawcą Akademii Wojskowej w Wiener-Neustadt, obecnie zaś od początku istnienia kierownikiem Centrali Polskiej Linii Lotniczej.



TOWARZYSTWO
UBEZPIECZEŃ

„EUROPA”

SPÓŁKA
AKCYJNA

MARSZAŁKOWSKA 118

TELEFONY № 250-56 i 139-79

Tow. Ubezpieczeń „Europa“, założone w roku 1920 zalicza się dziś do pierwszorzędnych placówek ubezpieczeń na życie.



Heliodor Józef Wieczorkowski
Naczelny Dyrektor

Na czele instytucji stoi znany specjalista-ubezpieczeniowiec p. Heliodor Józef Wieczorkowski, który posiada za sobą osiemnastoletnią praktykę; organizacją zaś kieruje p. I. Goldman, który w sferach asekuracyjnych jest znanym jako pierwszorzędną siłą fachową.

Prezesem Rady Nadzorczej jest p. Aleksander hr. Szeptycki, vice-prezesem p. Inżynier Artur Machlejd, zastępcą zaś p. Mecenasa Bronisław Łącki.

Produkcja miesięczna wynosi około miliona złotych.

Na specjalną zaś uwagę zasługuje fakt, że T-wo odłożyło całkowite rezerwy w walucie pełnowartościowej, co daje gwarancję zupełną ubezpieczonym.



Sala manipulacyjna

HENRY BORDEAUX

W Y B Ó R

— Połowa moich kolegów ze szkoły jest już żonata, więc ja też chcę się ożenić — oznajmił pewnego dnia swojej rodzinie Adrjan Bilau, pod koniec wojny podporucznik artylerji, a obecnie słuchacz Szkoły Głównej. Rodzina jego, złożona z trzech kobiet — matki i dwóch siostr Genowefy i Marceliny — przyjęła to oznajmienie ze śmiechem.

Jeszcze kiedy był w wojsku wyrażał już często podobne zamiary, ale tylko w celu otrzymania ośmiodniowego urlopu, na który miał szaloną ochotę. Dotychczas jednak zamiary matrymonialne jego nie groziły nikomu i nie można ich było brać poważnie. Siostry jego, które co niedziela towarzyszyły mu, albo raczej zabierały go z sobą do znajomych, gdzie zwykle tańczono, nie zauważyły, aby wyróżniał którąkolwiek ze swych danserek. Te ostatnie były to panny bardzo dobrze wychowane, z bardzo szanownych rodzin. Z tem wszystkim mógłby jednak zaryzykować małżeństwo z którą z nich. Niekiedy jakaś młoda mężatka, lub wdówka wślizgiwała się do ich towarzystwa, lecz znajdowała się pod srogiem okiem panien — gotowych do usunięcia w każdej chwili konkurencji.

Gdy tak ciągle powtarzał: „Ja chcę się ożenić“, matka jego, wreszcie już zniecierpliwiona, zażądała wymienienia nazwiska. Na którąż z dziewcząt padł jego wybór?

Lecz otrzymała na to odpowiedź:

— Nie wiem jeszcze. Nie pytajcie mnie więcej. Marcelina i Genowefa były zgorzzone.

Pani Bilau — przeciwnie — zaniepokoiła się. Syn jej pracował pilnie cały tydzień, lecz za to siódmego dnia wracał zwykle bardzo późno, — bezwątpienia z któregoś z tych tak obecnie modnych dancinów, gdzie młodzi ludzie zawierają różnego rodzaju znajomości, przeważnie niepożądane. Z pewnością nie chodził tam jedynie dla dziwnego jakiegoś przyzwyczajenia. Gdyby jednak mogła widzieć go tańczącym, gdy pilnie uważał na poruszenia nóg, nie uważając na nic i nie poświęcając nawet chwili dla spojżenia na swą bezwstydnie wydekoltowaną tancerkę, gdy nie zwracał się do niej nawet słowem, i kiedy ta po przetańczeniu pozostawała dla niego kimś zupełnie nieznanym — zrozumiałaby do jakiego stopnia taniec jest tylko sportem higienicznym i moralnym, a noszącym tylko według obecnej mody nazwę egzotyczną. Ale na odległość wyobrażamy sobie rzeczy innemi niż są w rzeczywistości. Jeszcze podczas wojny budziła się ona każdej prawie nocy pod wpływem widzenia, że syn jej zapada się w jakieś moczary, — lub, że z rewolwerem w dłoni odpowiada na ataki okropnych „boche'ów“ — gdy on natomiast bardzo często podczas tych jej okropnych widziadeł spał spokojnie w miejscu bezpiecznym, albo grał w karty z kolegami.

I teraz — gdy już nie istniało żadne niebezpieczeństwo, którego by się mogła dla syna obawiać, poczęła żałować tej wojny, która uzdrawiała dusze

młodzieży, podczas gdy pokój rozniecał tylko w natakach różnego rodzaju złe podejrzania.

Ten czas przygotowania trwał kilka tygodni, wreszcie Adrjan Bilau wystąpił z nowem, bardzo ważnem oznajmieniem:

— Waham się — rzekł tonem stanowczym.

Obydwie młode dziewczyny uśmieły się serdecznie.

— Jak osioł Buridana — skonstatowała młodsza z nich Marcelina, która siłała się zawsze na wykazanie swej wiedzy, a między dwoma foxtrottami przygotowywała się do m. tury.

— Rzeczywiście — potwierdził, — jak osioł Buridana.

— I między kim się wahasz?

— Między panną i między młodą wdówką.

Genowefa i Marcelina oburzyły się:

— Ależ tu nie może być żadnych wątpliwości:żeń się z panną.

— Kiedy ja jej się boję — odpowiedział.

— Ona cię obłaskawi.

Zaślubić wdowę! Ależ one niedopuszczyłyby nigdy w świecie do podobnego skandalu w ich domu. Czyż to nie było dosyć, że półtora miliona młodych ludzi, a nawet i mężczyzn żonatych — chociaż tych było coprawda najmniej — poszło na rzeź, ale przedewszystkiem młodzi — polegli za Francję, pozostawiając półtora miliona młodych dziewcząt narażonych na samotne znoszenie trudów przyszłości. Czyż to nie było dosyć, że udział sprzymierzeńców i miejscowe rezerwy nadaremnie podourzone nie dały nic innego, jak tylko posiłki bardzo niepewne i słabe. Czyż możliwem więc było, aby młode kobiety, z których każda miała już męża, były traktowane na równi z pannami — z tego tylko tytułu, że mężów swych straciły? A więc jedne miałyby prawo do dwóch małżonków, podczas gdy inne nie znalazłyby żadnego.

Rozwódki chociaż przynajmniej puszczały swych mężów w obieg.

Jakież będą więc w tym wypadku reguły sprawiedliwości, i bardziej od niej demoralizacyjnej równości?

Tymczasem Adrjan Bilau nie stawał jeszcze po niczyjej stronie. Prawda, że sytuacja jego była niezwykła. Nie należał zresztą do rodzaju poświęcających się. Podczas wojny można było stwierdzić, że był typowym mężczyzną. Ale teraz wojna była skończona i zapomniana i obecnie zwykł tylko wyjawiać swój pogląd, że kobiety istnieją jedynie dla ludzkiej przyjemności.

Wreszcie wyjawiał nazwiska, gdyż nie potrafił dłużej utrzymać sekretu. A więc — czy ma zostać mężem panny Elżbiety Mériot czy pani Dubat?

Panna była djabeł i żywa i żywość ta nie opuszczała jej ani na chwilę. Nie mogła usieść spokojnie na miejscu, nieznała co to spokój, decydowała, rozstrzygała wszystkie kwestje i rozkazywała. (D. c. n.)

LEAF-CADIO HEARN

7)

DYPLOMACJA

Sługa ze zdumieniem patrzył na swego pana, lecz nie decydował się spytać o powód tak dziwnego spokoju.

Samuraj, odgadłszy jego myśli, odrzekł:

— To jest bardzo proste: tylko ostatnia wola człowieka może być niebezpieczną. Lecz kiedy mu zaproponowałem, ażeby dał mi znak, odwróciłem duch jego od zamiarów zemsty. Umarł z j dynem pragnieniem wpicia się zębami w kamień,—i to mógł dokonać, lecz nic więcej. Wszystko pozostałe musiał zapomnieć. Widzicie więc, że niema powodu do obaw.

I rzeczywiście, umarły nie pokazał się i nic się nie stało.

ZWIERCIADŁO I DZWON

Przed ośmiuset laty kapłani Mugeniama w prowincji Totomi postanowili odlać dla swojej świątyni nowy wielki dzwon. W tym celu potrzeba było dużo metalu, i kapłani prosili wszystkie kobiety swego okręgu o złożenie w ofierze na nowy dzwon starych brązowych zwierciadeł.

I w naszych czasach spotyka się jeszcze stopy zwierciadeł brązowych, ofiarowanych przez wiernych i porzuconych na podwórku świątyni. Największą ilość takich ofiar widziałem na podwórku świątyni sekty Iodo w Hakate, prowincji Kiu-Siu. Zwierciadła te przeznaczone były na odlew posągu Amidy—olbrzymiego, 35 stóp wysokości.

* * *

W owych dawnych czasach w liczbie ofiarodawczyń była młoda kobieta, żona włościanina z Mugeniama. Lecz wkrótce potem żal się jej stało ofiarowanego zwierciadła. Przypomniała sobie opowiadania matki o niem, wspomniała, że należało ono nietylko do matki, lecz i do babki i prababki, wyobraziła sobie wszelkie uśmiechy szczęścia, jakie zwierciadło odbijało przez tak długi czas. Mogła, ma się rozumieć, odkupić od kapłanów tą tak drogą dla niej pamiątkę, lecz nie miała pieniędzy. Za każdym razem, przychodząc do świątyni, widziała swe zwierciadło w stosie wielu tysięcy innych. Poznawała je po płaskorzeźbach na odwrotnej stronie—Sho-Cziku-Bai—trzech symbolach szczęścia—sośnie, bambusie i kwiecie śliwy,—które tak zachwycały ją, gdy matka pokazywała je jej w latach dzieciństwa. Niewypowiedzianie tęskniła za ukochanym przedmiotem i czekała tylko na sposobność, ażeby go porwać. Jak go wtedy schowa, jak go strzedz będzie! Lecz sposobność nie trafiała się i młoda kobieta bardzo cierpiała, gdyż zdawało się jej, że lekko i cynicznie oddała część życia swego. Wciąż przypominała sobie starożytne przysłowie—„zwierciadło to dusza kobiety“, nakreślone pismem chińskim na odwrotnej stronie wielu zwierciadeł.

I z lękiem pytała się siebie, czy w tem orzeczeniu niema bardziej głębokiego, fatalistycznego znaczenia, niż myślała przedtem. Lecz wątpliwości swoich i swego smutku nie decydowała się powierzyć nikomu.

* * *

Kiedy w końcu poczęto topić ofiarowane na dzwon zwierciadła, gisierzy ze zdumieniem zauważyli, że jedno z nich nie roztopiło się. Dokładali wszelkich starań, ażeby roztopić je, lecz mimo to pozostawało ono całem w najsilniejszym ogniu. Widocznie ofiarodawczyni złożyła dar swój nie ze szczerego serca. Zał ją zdjął tej ofiary i jej zakamieniała dusza jakby przekazaną została zwierciadłu, tak że nawet w ogniu tygla giserskiego pozostawało ono zimnem i okrutnem.

Więść o tem szybko rozeszła się po całej wsi i wszyscy dowiedzieli się, czyje to zwierciadło nie topi się w ogniu. Wykrycie jej utajonych pragnień



rozgniewało i zawstydziło biedaczkę. Nie przeniosła takiej hańby i utopiła się, pozostawiając list następujący:

„Po śmierci mojej,—pisała: zwierciadło moje roztopi się z łatwością. Dzwon odleją. Lecz temu, kto, dzwoniąc, rozbije go, dusza moja zeszle olbrzymie bogactwa“.

* * *

Muszę zauważyć, że na dalekim Wschodzie przypisują nadnaturalne znaczenie i moc obietnicom samobójcy lub zmarłego z nienawiścią i złością w duszy. Gdy zwierciadło roztopiono i dzwon odlano, ludzie przypomnieli sobie ten list. Wierzyli mocno, że dusza samobójczyni zeszle olbrzymie bogactwa temu, kto dzwon rozbije. Nie zdążono zawieścić go, gdy do świątyni napływać poczęły tłumy ludzi, pragnących dzwonić. Dzwoniono ze wszystkich sił, lecz dzwon okazał się mocnym i nie rozbijał się.

(D. c. n.)

SĘDZIA PRZYSIĘGŁY

„Sprawa jest jasna, jak dzień“, mówił „Nie wolno temu, kto nosi mundur Jego Królewskiej Mości, komu przypadła w udziale zaszczytna rola i przywilej bronienia ojczyzny, opuszczać szeregów godząc na swoje życie, tak jak nie wolno mu opuszczać pola walki w jakikolwiek inny sposób. Wnoszę o uznanie oskarżonego za winnego dezercji“.

Pan Bosengate usłyszał ogólny szmer aprobaty.

Teraz zabrał głos prezes sądu, zwracając się do więźnia:

— Więźniowi przysługuje prawo składania zeznań z ławy świadków, w takim razie poddany być może badaniom za pomocą pytań krzyżowych; przysługuje mu również prawo odpowiadania z ławy oskarżonych, w takim razie nie podlega badaniu. Co więzień wybiera?

— Będę odpowiadał z ławy oskarżonych, wasza ekscelencjo.

Pan Bosengate mógł teraz widzieć całą jego twarz, odwróconą do kolegum sędziowskiego; może to, a może i ożywienie, które się na twarzy tej nagle pojawiło pod wpływem wysiłku skupionej myśli, sprawiły, że więzień wydał się zgoła odmieniony. Zdawało się jakgdyby mundur opadł z niego, a on sam wyłonił się ze swego cienia, żywa, drgająca wzruszeniem istota ludzka. Ogorzała całkowicie, ogolona twarz, stała się ruchliwsza, energiczniejsza, wyrazistsza; duże niespokojne piwne oczy pociemniały i rozbłysły. Wyrzucał rękoma, ramionami, całym ciałem, jak człowiek nagle oswobodzony z odrętwienia, czy uciskającego go pancerza. Mówił szybko, głosem nieco podniesionym, który załamywał się chwilami ze wzruszenia, silnie akcentował spółgłoski, skracał samogłoski, jak prawdziwy walijszyk.

— Wasza ekscelencjo i panowie sędziowie, mówił: byłem fryzjerem w chwili gdy powołano mnie do wojska. Mam swoje małe ognisko domowe, mam żonę. Nigdy nie myślałem, że mogę zostać od niej oderwany, nie wyobrażałem sobie, co by się wówczas ze mną stać mogło; nie, nie myślałem o tem wcale. I wstyd mi teraz mówić przed wami, panowie sędziowie, jak to człowieka drażni, męczy, jak ciąży mu na mózgu to oderwanie, gdy się jest tak nerwowym jak ja. A przecież nie każdy tak tęskni za rodziną; są całe masy mężczyzn, którym nic na tem nie zależy, czy będą mogli zno-

wu powrócić do swoich żon. Ale dla mnie to jest tak, jakby mnie zamknięto do klatki, tak!

Pan Bosengate dostrzegł smugę światła między cienkimi palcami wyrzuconej w górę ręki żołnierza.

— Ja nie jestem w stanie znieść tej rozłąki z domem, z żoną, na którą skazuje mnie wojsko. Kiedy schwyciłem owego ranka brzytwę, byłem oszalały z rozpaczony i gdyby nie ten człowiek, który zatrzymał mi rękę, nie byłbym już między wami. Przyznaję, że to nie jest powód dostateczny; to było szaleństwo, ale spróbujcie czuć tak jak ja, zobaczycie dokąd to może doprowadzić. Panowie sędziowie, nie odsyłajcie mnie z powrotem do więzienia. Tam jest jeszcze gorzej. Jeśli macie żony, sami zrozumiecie, czem to jest dla wielu z nas ta rozłąka, a przecież nie każdy jednakowo czuje, jeden jest więcej, drugi mniej nerwowo. Przysięgam panowie, że nie mogłem sobie z tem dać rady...

I znowu mały człowieczek wyrzucił rękę w górę, całe jego ciało wstrząsnęło się. Pan Bosengate miał takie same uczucie, jak kiedy zdarzało mu się samochodem przejechać psa na śmierć.

— Panowie sędziowie, życzę panom tylko, abyście nigdy w życiu nie odczuli tego, co ja w owej chwili odczuwałem!

Więzień skończył; oczy zapadły mu gdzieś głęboko, a na całą postać zasunął się znowu szary cień munduru z błyszczącymi guzikami. Do uszu pana Bosengate dochodził szmer podnieconych głosów kolegów; po chwili sam nie wiedząc kiedy znalazł się za mahoniowym stołem sali obrad; słyszał, jak rudowłosy człowiek-brytan dowodził: „Sensu w tem wszystkim niema, co on nam tu opowiadał“; słyszał przepity pomruk ajenta siedzącego po lewej stronie (wciąż po lewej stronie!), ocierającego pot z czoła i ziejącego alkoholem: „Fuj! jak tu dziś gorąco!“. Potem zabrał głos jegomość z obwisłymi policzkami i trzema pasmami włosów zaczesanych na łysinę:

— Nie rozumiem poco, właściwie, zebraliśmy się tu na naradę, panie przewodniczący?

Pan Bosengate spojrział na drugi koniec stołu, gdzie dżentelmen Fob w swojej białej oblamowanej kamizelce przybrał uprzejmie obronną postawę pełną godności i odrzekł chłodno:

— Radbym usłyszeć zdanie panów!

(D. c. n.)



Ostatnie modele kapeluszy wiosennych

TRADYCJA

Tydzień przedświąteczny w Polsce związany jest nieodłącznie z wszechpotężną „tradycją“, której hołd i pokłon składają wszyscy...

Zaczyna się już od nie'zieli tradycyjnym zakupywaniem palm, których dostarczają obficie nasze pola i lasy...

Przez cały tydzień gospodynie, zgodnie z tradycją, zajęte są zakupywaniem żywności na również tradycyjne „święcone“, przyczem znajduje zastosowanie stare, tradycyjne przysłowie „zastaw się a postaw się“...

To też, o ile się zdaje, mimo powszechnego narzekania na brak gotówki, stoły nasze w myśl tradycji uginąć się będą od tradycyjnych szynek, kielbas, pieczeni, bab i t. p. smakołyków, oraz baterji trunków...

W piątek i sobotę odbywać się będą tradycyjne a tłumne wędrowki po grobach.

W sobotę tradycyjne święcenie święconego, a przez noc i cały dzień następny tradycyjne wybuchy petard, nie dające spać spokojnym ludziom, zakłócające spokój, a z tem większą zaciekłością stosowane, im są ostrzejsze zakazy władz.

W pierwsze i drugie święto tradycyjne składanie wizyt świątecznych, z tradycyjnym objadaniem i opijaniem się, przyczem zgodnie z tradycją apteki zbierać będą obfity haracz za „oleum ricini“, a policja po matczynemu opiekować się tymi, którzy z nadmiaru trunków tradycyjnie na nogach utrzymać się nie będą mogli...

W drugie święto tradycyjny śmigus da pole do licznych wybryków naszej młodzieży, a wiele niewiast narazi na smutek z racji zniszczonych nowych szat świątecznych...

Nawet we wtorek, w trzecie święto, wiele warsztatów pracy będzie nieczynnych, a to skutkiem

tradycyjnego naszego zamiłowania do próżniactwa. I tak wszystko odbędzie się zgodnie z tradycją, która jednak w wielu punktach winna ulec zmodernizowaniu... Gdyż czasami i najstarsze tradycje bywają szkodliwymi dla społeczeństwa...

E. J. K.

Z TEATRÓW ŚWIETLNYCH

„SPECJALIŚCI“ NA EKRANIE

Są pewne ulubienice publiczności. Mary Pickford, Liljana Gish, Pola Negri. Każda z nich ma swój rodzaj gry. I każda w swym rodzaju jest doskonała. Dla tego też zapewne są ulubienicami. Mają coś, czem „biorą“ zwolenników kina.

Ale Mary Pickford nie powinna nigdy płakać na ekranie. Jest wtedy nieładna, nawet brzydka. Urok płaczącej kobiety można zobaczyć u Liljany Gish. Tak bywa i w życiu. Co jest wdziękiem u jednej, razi u drugiej. Maupassant zauważa: czemu pieszczotliwy gest jednej tak razi u drugiej? Czemu czarująca zalotność jednej, nieznośna jest u drugiej?

Otóż Liljana Gish wzrusza nas i czaruje gdy płacze, natomiast Mary Pickford odpycha. Bo to nie jest jej specjalność. Wy tarczy zobaczyć ją w „Sierocyj doli“, wcale udatnym filmie, wyświetlanym w „Światowidzie“. Widziałem ją ostatnio parę razy w różnych kreacjach. Robi zawsze to samo i zawsze dobrze. Gra roztrzępanego podlotka trochę niezgrabnego, o dobrem jednak serduszk. Zawsze jest jakieś drzewo, grusza czy jabłoń, Pickford na niem siedzi, potem zeskak je; bardzo często urządza jakieś niezgrabne, ale pełne wdzięku łażenie, człapanie się po podłodze itp. Jest to szablon, nie wiem tylko czy reżysera czy jej własny, ale ten

szablon odpowiada naturze Mary Pickford. W granicach tego szablonu jest ona właśnie ulubienicą publiczności. W „Dorocie Vernon“ wypadła z roli, bo rola ta nieodpowiadała jej osobowości. Specjalnością Pickford są jej nogi, to jest różne ewolucje, które czyni nogami. Te ewolucje dają pewien rodzaj ruchu, który zostaje utrwalony na ekranie, dając typ gry. Liljana Gish działa inaczej. Ma swój sposób spojżenia, swój grymas, wystarczy zresztą, że dotknie ust — s ablonowo już — palcem wskazującym.

Mary Pickford zaś musi być w ruchu. Natura jej — to żywe srebro. Zobaczcie jak ona chodzi, jak skacze, gdy tańczy, jak porusza nogami. Kto widział przesłaniczną scenę tańczącej Liljany Gish w ogrodzie (w „Białej Siostrze“), niech zobaczy tańczącą Mary Pickford. Podczas gdy tamta działa na nasz wzrok całą postacią (pewna przestrzeń wypełniona materją; element dekoracyjny), to Mary Pickford hipnotyzuje nas nogami (ruch, akcja). I dlatego zapewne, gdy Mary Pickford gra sceny chorej ze złamanymi nogami (w „Sieroczej doli“), czekamy, kiedyż zacznie biegać. A gdy zaczyna nieudolnie chodzić — znów grają jej nogi. Przypomina w tem Charlie Chaplina. — Zdaje mi się, że tak powstają specjalności w kinematografii.

Ale niekiedy trzeba zgadywać, co może być specjalnością jakiegoś aktora kinowego. W „Panie“ wyświetlają film „Tam, gdzie się ulica kończy“. Gra Ramon Navarro. Widziałem go bodaj pierwszy raz. Reklamy głoszą, że jest to „bożyszczko kobiet“. Jest piękny, tak. Ale tylko ciągle łązi. Ekran wymaga innych jeszcze walorów. Nie wystarcza być pięknym, żeby na ekranie być. Zdaje się jednak, że winien jest w tej sztuce reżyser.

Harry Peel, Charlie Chaplin, Harold Lloyd, Liljana Gish, Mary Pickford — są to typowi specjaliści. Mają oni swój rodzaj gry, stwarzają pewien typ.

A-s.

ROZMAITOŚCI

Pan Bóg jedyny sprzymierzeniec Polaków w wojnie 1831 r. Żołnierze polscy w czasie wojny roku 1831 w obozie taką sobie opowiadali powiastkę:

Kiedy wybuchła rewolucja lipcowa w Paryżu r. 1830, św. Michał, piastujący urząd sprawozdawcy z wypadków i zdarzeń naszego świata w niebie, stanąwszy przed tronem Pana Boga, zdawał mu o tem sprawę. Gdy opowiadanie skończył, rzekł mu Pan Bóg na to:

— Naród francuzów jest bardzo liczny, są mocni, bitni i sami sobie dadzą radę. Zostawic ich zatem samym sobie.

Kiedy zaś w tymże roku wybuchła rewolucja

w Brukselli, czyli Belgji, chcącej się oderwać od Holandji, znowu św. Michał, pełniąc ów obowiązek reportera, zawiadamiał o tem Pana Boga, który mu oświadczył:

— Belgowie mają dosyć przyjaciół i mocnych, a przychylnych sąsiadów, którzy im niezawodnie dopomogą...

A gdy w dniu 29 listopada 1830 r. nastąpiło powstanie w Warszawie i św. Michał według zwyczaju o tem donosił, rzekł mu Pan Bóg:

— Biedni Polacy... otoczeni nieprzyjaciółmi, czyhającymi na ich upadek, nie mają, ktoby im rękę podał... przeto ja sam im dopomogę...

Żołnierz-filolog. Jakób, ordynans kapitana Winc. Roklewskiego, żołnierz stary, który służył w legji nadwiślańskiej w Hiszpanji (1810), utrzymywał, że język hiszpański dużo podobny jest do polskiego.

— Ja, — mówił — kiedyś potrzebowałem chleba, wziąłem kawałek w rękę i pokazując Hiszpanowi, powiedziałem: *chlebos*, a on ci wnet mi przyniósł. Toż samo, kiedy chciałem napić się wina, dałem dzbanek Hiszpanowi i powiedziałem: *winos*, a on wnet zrozumiał i przyniósł.

„ROZRYWKI UMYSŁOWE“

pod redakcją K. Gilewicza.

2. SZARADA

Nim *dziesięć—jedenaste—dwunaste* młodemu
Odrośną pokoleniu — póki nie stanęło —
Niech *dziewiąte—dwunaste—pierwsze* takie dzieło,
To dzisiejsze, już na bok schodzące, by złe mu
Nie stanęło przed oczy upiorem!.. Mocarnie
Przygotować je trzeba do wielkiego czynu
Do zdobycia uznania ludów i wawrzynu,
Pod *siódmymi—ósmymi* by nie padło marnie...
Niechaj będzie jak okręt silne i zuchwałe
Na *drugie* *wspak* i *trzecie* niezbyt czułe złości,
Nie jak liche czółenka jakieś, co w cichości
Piąte—szóste—dwunaste przed bałwanów zwałem.
I ty każda *wspak* *druga—czwarta* ziemi żyzna
Co wykarmiasz swe dzieci, jak prawdziwa matka,
Ucz je kochać piędź każdą aż do tchu ostatka!..
Potężną będzie wówczas i wielką Ojczyzna!..

Roman Kozłowski.

Termin nadsyłania rozwiązań 14-todniowy.
Dwie nagrody przez losowanie. Napis na kopertach zalepionych: Redakcja „Biesiady Literackiej“.
Warszawa, Nowy-Swiat 50. „Rozrywki umysłowe“.

.....

Klische wykonane w zakładzie fotochemigraficznym R. Sawickiego, Wspólna 45.

Kierownik literacki: Edmund Jeziński.

Redaktor i wydawca: Tadeusz Jaszczewski.

Kierownik literacki przyjmuje codziennie od godz. 5—6 po poł, w lokalu redakcji, Nowy-Swiat 50.